WTOREK Nr 100 23 VIII 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

HARCERZE ZNÓW WE FROMBORKU

Fot. T. Kłosowski

„Małe Słowianki" z Krakowa stanowiły nie tylko baletowe i muzyczne, ale i... optyczne ożywienie tegorocznego lata we Fromborku. Zakwaterowały się w namiotach na wzgórzu, z którego doskonale widać było panoramę miasta i katedrę. Na tym tle filmowała je TV – my też skorzystaliśmy z okazji. Oczywiście, to nie cały zespół, a zaledwie jedna drużyna – „Jarzębinki" Pozostałe wiadomości z Fromborka znajdziecie na str. 4

STRASZNA PANI

Znam dziewczynkę, która w dzieciństwie wypadła z wózka. Jest kaleką.

Niedawno, kiedy szłam do sklepu z moją najlepszą przyjaciółką, Agnieszką, usłyszałam i zobaczyłam to, czego nigdy więcej nie chciałabym przeżyć. W niewielkim oddaleniu zobaczyłam Anię (tę kaleką) i kilkoro dzieci pchających jej wózek. Niedaleko tej grupki dzieci stały dwie panie, z których jedna wypowiedziała słowa bardzo przykre dla Anki: „Dzieci, co wy tak pchacie ten wózek, lepiej poszłybyście się bawić lub kąpać, a nie tak marnować piękne popołudnie". Po czym zaśmiała się i powiedziała do kobiety stojącej obok niej: „Nie mają lepszego zajęcia, tylko kalekę wozić".

Poczułam jak niemiły dreszczyk przeszedł mi po plecach, podeszłam do tej pani z trudem opanowując gniew i spytałam: „Czy pani nie rozumie, że ta mała dziewczynka nie ma przyjaciół poza misiem, lalką i nami? Czy naprawdę tak bardzo pani zależy, żeby zniszczyć dziecku tę jedyną przyjemność? Przecież ona nie może wstać z wózka inwalidzkiego, pobiec i grać w piłkę jak inni! Nie wierzę, żeby pani na tym zależało, bardzo proszę więcej jej nie dokuczać".

Ta pani odeszła mówiąc do drugiej, że młodzież teraz taka niewychowana. Nie wiem czy postąpiłam dobrze, ale jestem przekonana, że miałam rację. Może nie powinnam zwracać się do tej pani bezpośrednio, może powinnam nie zwrócić na te okropne słowa uwagi i zacząć pocieszać Anię. Ale wiem jedno, że nie wolno mi było tych słów zlekceważyć. Jeśli wiele osób przeczyta o tym w „ŚM", to mam nadzieję, że na świecie będzie mniej takich ludzi, jak ta pani.

Iza z Wrocławia

Fot. Jacek Łopuszyński

Oberek nie powędrował do Bułgarii...

Takim oto wesołym korowodem zakończył się X Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach. Czytajcie o tym na str. 5

W gorzowskich lasach cygańskie wozy

GORZÓW WLKP. (PAP). Sprawił to film. Grzegorz Dubowski reżyseruje bowiem ponad godzinny telewizyjny film ukazujący folklor cygański. Scenariusz zaczerpnięty został z widowiska „Papusza" wystawionego przez zespół cygański „Terno" z Gorzowa Wlkp., który przybrał nazwę cygańskiego teatru muzycznego. Jego członkowie będą aktorami cygańskiego filmu. Część rekwizytów, a wśród nich prawdziwy tabor sprowadzono na plan filmowy z Muzeum Kultury Cygańskiej w Tarnowie. **(eb)**

W ukraińskich ośrodkach pionierskich – Polscy harcerze

100-osobowa grupa wyróżniających się harcerzy krakowskiej Chorągwi ZHP – w większości mieszkańców wsi – przebywa na, jak wieść niesie, bardzo udanym 24-dniowym wypoczynku w kilku wakacyjnych ośrodkach pionierskich Ukrainy. M.in. jedna z drużyn mieszka na terenie Centralnego Międzynarodowego Obozu Pionierskiego w miejscowości Puszczawodnica, w pobliżu stolicy Ukrainy. W programie – wycieczki po Kijowie, zapoznawanie się z kulturą i historią pozostałych narodów ZSRR, a także... dzień polski, którego gospodarzami będą oczywiście krakowscy harcerze.

Ten atrakcyjny wyjazd zorganizowany został na zaproszenie Kijowskiej Rady Związków Zawodowych. Współorganizatorami pobytu harcerzy na ziemi kijowskiej są Komenda Krakowskiej Chorągwi ZHP i Zarząd Krakowski TPPR. **(kl)**

„MAŁY ZYGMUNT" W TORUNIU

(PAP). Mało kto wie, że na wieży gotyckiego kościoła św. Jana w Toruniu znajduje się mały dzwon Zygmunta „Tuba Dei". Ten bezcenny zabytek sztuki ludwisarskiej pochodzi z 1500 r.; jest więc starszy od swego krakowskiego „brata" o 20 lat, a waży tylko o tonę mniej.

Toruński dzwon odzywał się wielokrotnie w przeszłości, m.in. witając wjeżdżających do miasta królów. Uniknął szczęśliwie zagrabienia podczas II wojny światowej przez hitlerowców. Obecnie dzwon odzywa się przy szczególnie uroczystych okazjach oraz w niektóre niedziele.

O „małym Zygmuncie" z Torunia można jednak tylko poczytać w przewodnikach turystycznych. Choć Bazylika św. Jana – jeden z najcenniejszych zabytków architektury Torunia – odwiedzana jest co roku przez wszystkich turystów przyjeżdżających do miasta Kopernika, wielki dzwon jest dla turystów niedostępny. Zobaczyć go nie można, a słyszy się go rzadko. **(kl)**

Plaga rabusiów

(PAP). Rządy krajów, w których trwają badania archeologiczne, wydały odpowiednie przepisy mające w praktyce zapobiec wywozowi skarbów kultury narodowej za granicę. Nie na wiele się to jednak zdaje. W Kostaryce splądrowano 95 proc. wykopalisk, w których natrafiono na cenne znaleziska. Odkryte w połowie lat 60-tych w Tajlandii ruiny Bang Chiang zostały doszczętnie ograbione z pochodzących sprzed 4 tysięcy lat wyrobów ceramicznych i żelaznych, zanim archeologowie przystąpili do gruntownych badań. Na wiejskich bazarach w Peru za kilkadziesiąt dolarów można nabyć, mające tysiącletnią historię, wyroby garncarskie kultury Nazca, które na aukcjach w Paryżu czy Nowym Jorku osiągają dziesięciokrotnie wyższą cenę.

Rabusie grasują bezkarnie. Wykopaliska bowiem nie posiadają żadnych zabezpieczeń, a grabieży dokonuje najczęściej okoliczna ludność. Niekiedy, jak np. w peruwiańskich Andach, są to chłopi, których długotrwała susza i spowodowana nią klęska nieurodzaju przemieniła z rolników w sezonowych poszukiwaczy skarbów. Wyposażeni w prymitywne narzędzia: żerdzie, łopaty, dosłownie sieją oni spustoszenie wśród kruchych wyrobów ceramicznych. W Kolumbii liczna, 60-tysięczna rzesza „huaqueros" czyli „hien cmentarnych" zarabia w ten sposób na życie. Wspierani przez bogatych pośredników, którzy zajmują się przemytem, „huaqueros" działają w zorganizowany sposób, używając w swoich wyprawach nawet lekkich samolotów i podwodnego sprzętu.

Łupem złodziei padają także – co najbardziej godne pożałowania – eksponaty przechowywane w narodowych muzeach. Skromne budżety, którymi dysponują placówki muzealne w państwach Trzeciego Świata, nie wystarczają na zainstalowanie urządzeń chroniących przed włamaniem. W ten sposób skradziono w 1981 roku z muzeum w Limie narodowy symbol Peru – Tumi (sztylet z rękojeścią w formie posążka z aureolą słoneczną) i 30 innych wyrobów ze złotego kruszcu. Większości z tych przedmiotów nie udało się odzyskać – zostały bowiem przetopione. **(eb)**

Zmierzch papy dachowej?

NRD (PAI). W kombinacie chemicznym Leuna w NRD opracowany i wypróbowany został środek chemiczny, którym można pokrywać dachy domów i hal fabrycznych, eliminując dotychczas stosowane papę i lepik. Ponad 400 ha dachów kombinatu pokryto nowym środkiem, uzyskując doskonałą szczelność i nieprzemakalność, gwarantowane przez wytwórcę na okres co najmniej 12 lat. Używana dotychczas papa musiała być co dwa-trzy lata smołowana. **(jo)**

KUPIĆ NIE KUPIĆ potargować wszędzie można

Paryż ma swój „pchli targ", Warszawa – „jarmark perski", a Tokio – targ staroci w pobliżu świątyni Araiyakushi. Ściąga on w każdą pierwszą niedzielę miesiąca poszukiwaczy antyków, jednakże – jak na każdym targu – wiele z oferowanych tu przedmiotów ma z antykami mało wspólnego.

Na zdjęciu różnorodnego towaru sporo, ale ceny – tak jak na naszym „perskim" – również wysokie. **(dr)**

Fot. CAF–AP

„MINI-SZKOŁA" RZEŹBIARSTWA

OLSZTYN (PAP). Istnieje już drugi rok. Młodzież uczy się w niej historii sztuki i rzeźbienia. Oczywiście nauka nie jest obowiązkowa – uczniowie tej „szkoły" tak naprawdę kształcą się w **Zespole Szkół Budowlanych CZSP w Iławie.** Z własnej chęci, jeśli wykryją w sobie rzeźbiarskie uzdolnienia, przychodzą do izby twórczości znanego rzeźbiarza ludowego – Jana Kowalskiego, który jest jednocześnie nauczycielem młodzieży. Temu dobremu pomysłowi patronuje iławski oddział Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze", który służy grupce kilkunastu entuzjastów pomocą organizacyjną. **(eb)**

Bateria cieńsza od... włosa

(PAP). Inżynierowie japońskiego koncernu Hitachi opracowali nową technologię produkcji baterii o grubości zaledwie połowy ludzkiego włosa. Ma ona cztery milimetry powierzchni i grubość 0,034 milimetra. Bateria daje napięcie 2,5 wolta i może służyć jako źródło energii dla zegarka ręcznego umożliwiająca mu pracę przez 300 godzin. **(kl)**

REPORTER Świata Młodych

TEMAT WOLNY

PŁONIE SZYBKO – ROŚNIE DŁUGO

Niedaleko szosy rozciąga się las, na pozór piękny. Ale tylko na pozór. W lesie już na samym brzegu widać objawy wandalizmu. Drzewa są odarte z kory, trawa poniszczona i popalona przez młodzież. Młodzież ta widać nie ma gdzie się podziać, chodzi po lesie i tam wyżywa się na młodych drzewkach i roślinności. Często bywa to przyczyną pożaru. Nie przestrzegając praw i nie zwracając uwagi na apele straży pożarnej młodzież ta pali trawę i ogniska w samym lesie – nie okopując ich. Zostawiają te ogniska bez opieki. Przez taką lekkomyślność często giną w płomieniach hektary lasów. Młodzi ludzie chcąc popisać się przed innymi skaczą przez duże ogniska. Ci, którym nie udało się przeskoczyć, trafiają na długie tygodnie do szpitala. Młodzież często zachowuje się brutalnie nie tylko wobec roślinności, ale także wobec poustawianych w lesie sagów drzewa. Przewracają je, nie szanując czyjejś pracy. Oni właśnie wyrzucają do lasu różne odpadki. Teraz las przy drodze przypomina bardziej wysypisko śmieci niż prawdziwy las.

Mariusz Ciesiński
Kraków

NASZE PODWÓRKA

Niechlujstwo?! Wątpię czy to, co się dzieje na naszym osiedlu zasługuje li tylko na taką nazwę. To jest barbarzyństwo!! Od dwóch lat na osiedlu mieszkają ludzie, i cóż? Do tej pory na całym obszarze jest (dla dzieci) – jedna piaskownica i jedna zjeżdżalnia.

Wszędzie leżą zwały gliny. W pewnych miejscach nie da się przejść. Ulice niektóre są asfaltowe, lecz przejechać ciężko. Po obu stronach stoją samochody. A parkingi, są, tyle że kilkumiejscowe. Żeby chać trochę zieleni! Jest, owszem, lecz tylko dzięki pracy mieszkańców. Przed domem „Złotego Wieku" oraz od strony głównej ulicy. (Jasne, jak ktoś, przejeżdża, to widzi osiedle zadbane). Administracja nas nie rozpieszcza! Dotychczasowi administratorzy nie mieszkają tutaj.

Powróćmy do spraw dzieci i młodzieży. Co zrobiono dla maluchów – wymieniłem. A co dla młodzieży? Nic. Kompletnie nic. Sami zrobiliśmy boisko, nawet z bawkami. Było naszą chlubą przez... dwa tygodnie. Obecnie jest tam chodnik otoczony murem.

Teraz mamy sposób na budowlanych. Jeśli chcemy, żeby coś zrobili, to sami bierzemy się za to. Oni wściekli, że jutro tu miało „coś"-stanąć – sami chcąc nie chcąc robią to „coś". Jest to zazwyczaj chodnik lub też (najczęściej) drewniana buda na narzędzia. Rywalizacja trwa.

Rafał Kuczewski
os. Książąt Pomorskich
Szczecin

SKARB, KTÓRY TRACIMY

Jak każdy naród, tak i my stanowimy „zgraną" gromadę ludzi, posiadających własną ojczyznę, wzniosłe cele i przebogatą przeszłość historyczną. Jesteśmy wszyscy Polakami i mamy w sobie wszystko to, co nazywamy polskością. Już w okresie tzw. Złotej wolności szlachtę polską charakteryzował egoizm, wielki pociąg do wygód i samowoli, co w późniejszym okresie stało się dla nas nieszczęściem. Nie bez przyczyny nawiązuję do przeszłości historycznej, bo dzisiaj, jak to się zwykle mawia, „historia się powtarza". Myślę oczywiście o lenistwie, o egoizmie. Są to sprawy może błahe, ale w każdym przypadku z małego rodzi się zawsze wielkie.

Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo dużo czasu marnuje nasze społeczeństwo. Właśnie czasu! Przecież to nie jest towar, który można wystać w kolejkach, czas to nieoceniony dar, nie ma na niego żadnej ceny.

Gdzie go marnujemy? Wszędzie! Chociażby „w pracy", np. owe pijanie herbaty, przerwy na papierosa czy śniadania robione w chwilkę po przyjściu z domu. Czy śniadania nie można zjeść w zaciszu kuchni domowej? Przecież można przez te pięć dni wstać wcześniej! Mamy wolne soboty! Gdyby tak było, że człowiek wstawałby o ustalonej godzinie rano, to na stanowisku pracy byłby blask uśmiechów na twarzach. Nie zaś jak bywa: zaspany, wkurzony, a w dodatku z roztargnienia zapomniał wyprostować spodni! Potem taki czy taka zabiera się do robienia sałatki z pomidorów. Nie śmiejcie się – sama byłam świadkiem takiej „uroczystości", gdy zniecierpliwiona czekałam na jakiś urzędowy papierek. Ludzie, to jest doprawdy niepojęta rzecz, jak człowiek może marnować czas! Wielu czytelników oburzy moja pisanina. Macie zupełne prawo do własnych sądów. Zastanówmy się jednak ile sami marnujemy czasu. Zróbmy wewnętrzną odnowę i postarajmy się ułożyć sobie życie bez głupiego marnotrawstwa. Nie zabierajmy sobie sami naturalnego „skarbu".

„Eustaszka"

● Poszukuję książek: „Słownik poprawnej polszczyzny", „Słownik wyrazów obcych", „Encyklopedia dla dzieci – Polska moja ojczyzna", „Wyrazy trudne, ważne i ciekawe", „Leksykon dla młodzieży", „Mała encyklopedia powszechna", „Ilustrowany leksykon PWN", „Matematyka – poradnik encyklopedyczny", „Matematyka popularna", „Fizyka popularna", „Chemia popularna", „Encyklopedia – przyroda i technika", „Mały Słownik Biologiczny", „Słownik geografii świata", „Słownik geografii Europy", „Leksykon techniczny", „Encyklopedia techniki", „Mały słownik pisarzy polskich", „Dzieje literatury polskiej" (J. Krzyżanowskiego). „Słownik historii Polski", „Antologia literatury powszechnej", „Historia powszechna", „Przewodnik teatralny", „Przewodnik operowy", „Słownik terminologiczny sztuk pięknych", „Encyklopedia staropolska", „Encyklopedia sztuki starożytnej", „Przewodnik sportowy", „Biblioteka klasyki polskiej i obcej", „Biblioteka lektur szkolnych". Odstąpię: plakaty różnych zespołów młodzieżowych, zdjęcia piłkarzy, książki: W. Orłowski „Niezwykłe przygody Józefiny", I. Newerly „Chłopiec z Salskich Stepów", J. Chmielewska „Wielkie zasługi", W. Wasilewska „Pokój na poddaszu", H. Sienkiewicz „Quo Vadis" oraz plakat Bruce'a Lee w wymiarach rzeczywistych, **Ela Kliszewska, Wiele, 89-115 Mraza woj. bydgoskie;** ● Poszukuję słownika polsko-angielskiego lub innych pozycji do nauki języka angielskiego. W zamian odstąpię: „Opowiadania" Stefana Żeromskiego, „Anielkę" Bolesława Prusa, „Nowele wybrane" Henryka Sienkiewicza oraz podręcznik: „Nauka o człowieku" dla kl. VIII, **Małgorzata Rehlich ul. Kościuszki 39/3, Kwidzyń 82-500, woj. Elbląg;** ● Pilnie poszukuję książki A. Kamińskiego „Kamienie na szaniec". Zapłacę lub wymienię na inne książki, podręczniki lub numery „Skrzydlatej Polski", **Andrzej Pasula os. Kościuszkowskie 6/222, 31-858 Kraków – Nowa Huta;** ● Poszukuję książek: „Mały Książę", „Quo Vadis". Odstąpię podręczniki do języka polskiego kl. VII, do historii kl. VI i do geometrii kl. VII, **Dorota Wołecka, ul. 1-go Maja 47, 16-424 Filipów.**

BIURO POD

Międzynarodowy Kącik Przyjaciół:

● Mam 14 lat. Urodziłam się 5 marca. Koresponduję w języku rosyjskim, **Diesiława Christowa, Kwartira „Kucijan", blok 5/12 N5/12, 2500 Piernik, Bulgaria.** ● Jestešmy członkami Klubu Międzynarodowej Przyjaźni „Gołąb pokoju" przy Domu Pionierów we wsi Połatka w Chasynskim rejonie. Mieszkamy na północy naszego kraju, lecz bez względu na odległość zawsze z dużym zainteresowaniem czytamy i słuchamy sprawozdań o młodzieżowych, demokratycznych organizacjach różnych krajów świata. Bardzo chętnie nawiążemy też kontakt z polskimi harcerzami. Prosimy o listy w języku rosyjskim. **Dom Pionierów, Klub Internacjonalnoj Drużby, pasiołok Połatka, Chasynskij rejon, 686110 Magadanskaja obl. ZSRR;** ● Mam 15 lat. Interesuję się sportem i chętnie będę korespondować z moimi polskimi rówieśnikami po rosyjsku. **Nadieżda Czernoraj, r.p. Gusskaja Aoliana, pier. Szkolnyj 28, kwartira 8, Onskaja obl. ZSRR;** ● Uczę się w ósmej klasie. Mieszkam w bardzo pięknej wsi. **Łarisa Markiewicz, sioło Konstantinowka, Wiszniewskij rejon, Celinogradskaja obl., 474325 ZSRR;** ● Mam 13 lat. Uczę się rosyjskiego i niemieckiego. Mieszkam w małym, przemysłowym miasteczku. **Tania Urbanowa, ul. Marica 8, okr. Starozagorski, gorod Czirpan, 6200, Bulgaria;** ● Mam 14 lat. Lubię rysować. Uczę się angielskiego i rosyjskiego. **Nina Urbanowa, Kompleks „Mr morie", bl. 19, 5, ap. 79, Jambol, 8600 Bulgaria;** ● Mam 13 lat. Uczę się dobrze. Zbieram kalendarze, serwetki, wstążki, a także chusty. Mogę je wymienić. **Fatma Szewkiedowa, s. Zwarczy, okr. Razgradski, 7333 Bułgaria;** ● Witaj, drogi, nieznany przyjacielu! Chcę z Tobą korespondować, wymieniać się kolekcjami. Kolekcjonuję znaczki pocztowe różnych krajów. Interesuję się także sportem. Bardzo chciałbym mieć odznakę polskich harcerzy. **Siergiej Goriutko, ul. Pocztowaja dom 13, obł. Donieckaja, 343320 Krasnyj Litan, ZSRR;** ● Bardzo chciałabym korespondować z młodzieżą Polski. Mam 16 lat. Zbieram zdjęcia zespołów, znaczki pocztowe. Interesuję się muzyką estradową. Znam język polski i rosyjski. **Irena Trawkina, pos. Grygiszki, ul. Spalio, dom 29 m 47, rejon Trakajski, Litewska SRR;** ● Chodzę do ósmej klasy. Chętnie nawiążę kontakt z polskimi rówieśnikami. Mogę korespondować w języku węgierskim i rosyjskim. **Tunda Polgari, 4634 Aranyosapati, József a. 11 sz., Węgry;** ● Mam 15 lat i mieszkam w mieście Kaunas. Bardzo chciałabym mieć przyjaciół w Polsce. **Edita Kierkowicz, Daukanto 17-7, Kaunas, 233000 Litewska SRR;** ● Mam 16 lat. Zbieram zdjęcia zespołów, znaczki pocztowe, pocztówki z różnych miast, maskotki, opakowania od cukierków, plakaty, nalepki. Znam język polski i rosyjski. **Aleksandra Zakrzewska, Etmince, 234012 Rzeszа, rejon wileński, Litewska SRR;** ● Interesuję się sportem, muzyką estradową, fizyką, matematyką. Zbieram płyty, widokówki, fotosy, piosenkarzy i aktorów. Znam język polski, rosyjski i trochę niemiecki. **Danuta Morkowicz, Poszyle, 234012 Rzesza, rejon wileński, Litewska SRR;** ● Chodzę do siódmej klasy. Zbieram zdjęcia aktorów, widokówki i reprodukcje. Koresponduję po rosyjsku. **Ola Woroncowa, Zawodskoj pr. 44/220, Leningrad – Kołpino – 6, 188630 ZSRR;** ● Mieszkam na wyspie Sachalin. Chodzę do czwartej klasy. Jestem pionierką. Bardzo chcę korespondować z polskimi rówieśnikami. **Tania Sołowiowa, ul. Gornaja, dom 11, kwartira 1, Sieniegorsk, Sachalinskaja obl., 694054 ZSRR;** ● Mam 14 lat. Dobrze piszę po rosyjsku. **Zilacki Erzedet, Piuszpiekłagań, ul. Nap 5, 4150 Węgry;** ● Mam 12 lat. Mieszkam i uczę się w Krzywym Rogu. Znam tylko rosyjski. **Natasza Fomina, Kriwyj Rog, ul. Frunze 22/2, Dniepropietrowskaja obl., 324014 YCCP;** ● Mam 16 lat. Chodzę do pierwszej klasy szkoły ogólniczej. Zbieram fotosy aktorów, piosenkarzy, znaczki pocztowe. **Teresa Umbrasajtie, Giejlaszy, 234045 Majszagała, rejon wileński, Litewska SRR;**

● Chodzę do siódmej klasy. Zbieram znaczki pocztowe, kalendarzyki, pocztówki, fotosy aktorów i piosenkarzy. Uczę się dobrze. Znam język rosyjski. **Nietia Mładienowa-Nikołowa, Drużba, blok 112, wchod G-, etaż 2 ap. 56, Sofia 1592, Bułgaria;** ● Piętnastolatka z RFN nawiąże korespondencję z polskimi rówieśnikami. Interesuję się muzyką z wyjątkiem jazzu i hard rock'a. Lubię kino i książki, **Aleksandra Schott, Weilburgstr. 25, 1000 Berlin 49, RFN;**

● Lubię konie, dobrą muzykę. Chcę korespondować tylko z dziewczętami. **Aleksandra Klau, Buggestr. 12, 1000 Berlin 41, RFN;** ● Interesuję się muzyką, hokejem, tenisem, gram na fortepianie. Lubię koty i pływanie. Zbieram różne nalepki, **Stella Sikatzis, Fliedenweg 5, 1000 Berlin 33 RFN;** ● Lubię czytać, słuchać muzyki. Szczególnie klasyczne opery, **Christiane Ahrens, Uhlandstr. 87, 1000 Berlin 31 RFN;** ● Interesuję się piłką nożną i wszystkim, co jej dotyczy. Lubię robótki ręczne, **Friderike Prinzler, Kufsteinerstrasse 12, 1000 Berlin 62 RFN.**

REDAKCYJNA POCZTA

Żeby mama zawsze była taka, dla mnie jak dla innych

Jestem stałą czytelniczką „Świata Młodych". Bardzo lubię czytać listy moich rówieśników, przeżywać ich troski, kłopoty i radości. Nadszedł dzień, w którym i ja muszę poprosić o radę.

Przyczyną moich trosk jest moja mama. W towarzystwie, na ulicy czy gdy przyjdzie do szkoły jest bardzo wesoła, fajna, inaczej „klawa", jak mówią moi koledzy i koleżanki. W domu jest gorsza, dużo gorsza.

Do niedawna mogłam zwierzyć się jej z wszystkiego, teraz jest mi bardzo trudno powiedzieć o czymkolwiek. Mama ma do mnie ciągle jakieś „ale" i za wzór stawia mi mojego dwunastoletniego brata (którego kocha bardziej niż mnie, o czym ja dobrze wiem). Nie, mówić nie jestem o niego zazdrosna, staram się pogodzić z losem.

Proszę, poradzcie co mam zrobić, aby pomiędzy mną a mamą było jak dawniej (bo bardzo ją kocham), aby w domu była taka, jak na ulicy (czy gdzieś indziej), zawsze wesoła, pogodna, uśmiechnięta. Proszę wydrukujcie mój list, może mama go przeczyta i chociaż trochę się zmieni.

„Zrozpaczona"

Czy nie wolno zakochać się przelotnie?

Bardzo mnie wzburzył list Iwony (77 nr „RP"). Iwona 12–13-latkom uważa za dzieci, które na miłość mają dużo czasu. Tak, mają czas, ale czy nie wolno zakochać się choćby przelotnie? Zabronione to chyba nie jest, nie widziałam nigdy przepisów zabraniających tego. Nie podobało mi się też określenie: „Zakochane dzieci". Sama mam 13 i pół) lat i chyba już takim dzieckiem nie jestem. Myślę, że Iwona nie powinna „wywyższać się" swoją starszością itp. itd. Powinna mieć więcej wyrozumiałości dla „zakochanych dzieci", mieć więcej tolerancji jakby noo... pobłażliwości i nie traktować nas z góry.

Małgorzata

Świat byłby nudny, gdyby wszyscy interesowali się tym samym

Piszę w sprawie wypowiedzi Pauli z 75 numeru „ŚM" i proszę o wydrukowanie mojego listu. Również lubię („lubię" to za małe słowo, kocham piłkę nożną. Też uwielbiam Rossiego, zbieram zdjęcia piłkarskich gwiazd, uważam, że w pracę nożnej naprawdę można znaleźć receptę na szczęście. O moim zainteresowaniu tą dziedziną sportu wiedzą koledzy i koleżanki, lecz mimo to mam wielu przyjaciół, nie czuję się samotna. Uważam, że każdy człowiek ma swego „konika", lecz czasami nie chce się do tego przyznać, ulega ogólnej modzie na „Republikę" itp. Uważam, Paulo, że nie powinnaś się tak bardzo przejmować tym, że koledzy są odmiennego zdania. Zapewniam Cię, że większość z grona Twoich znajomych również lubi futbol, lecz o tym nie mówi. Rozerzysz się wówczas siebie, a zobaczysz, że wielu ludzi ma tak różne zainteresowania i nic nie zamieniłoby swego hobby. Świat byłby nudny, gdyby wszyscy interesowali się tym samym. A więc głowa do góry!

Beata K.

Spotkania

Gigant

„Wsiąść do pociągu byle jakiego..." Kto z nas nie miał czasem takiej ochoty: rzucić cztery ściany, którymi zachwiał jakiś wstrząs, twarze, na które nie chciało się już patrzeć, myśli, od których – tak w każdym razie się wydawało – ten pociąg z popularnej piosenki odwiezie daleko. Część tę ochotę realizuje, choć akurat teraz na wsiadanie do pociągu pora nie najlepsza, bo można być zgniecionym już przy wejściu albo skazanym na daleką drogę w pozycji bociana stojącego na jednej nodze. No a gdy się jedzie na gapę czyhają jeszcze dodatkowe niebezpieczeństwa.

Mirkowi się jakoś udaje. Bagażu dużego nie ma, więc w grę wchodzi grać łatwiej. Czasami wysiądzie wcześniej, czasami wędruje na wschód w centrum Polski, ale teraz właśnie jest na trasie z gór do morza. Trzeba się wykąpać – mówi wesoło i mrugi oczy, głaszcząc się po prawie łysej głowie. Tak wygodniej na te upały – stwierdza, gdy pytam, czemu się tak ostrzygł. Dziś ustrzelił naiwnego czyli mnie, bo zgodziłem się dołożyć mu brakującą do biletu sumę. Widocznie zatęsknił trochę za komfortem podróży. Choć tak na ogół nie jest wymagający: coś tam zje w barze, przespi się na ławce w dworcowej poczekalni albo w wagonach na kolejowej bocznicy i jakoś leci. Nie ma nawet szkolnej legitymacji, bo gdzieś mu zginęła, ale na ciekawego jego podróży milicjanta jeszcze nie trafił. A ta jego podróż trwa już właściwie trzeci rok, bo to wcale nie sprawa lata i wakacji. Tak przejeździł już dwie promocje do ósmej klasy, bo w szkole i w domu jest rzadkim gościem. Ale to już końcówka – stwierdza prawie filozoficznie. Trzeba w końcu zaliczyć tę budę i spoważnieć trochę. Ale nie jestem pewien, czy nie żartuje, bo znowu uśmiecha się tajemniczo. Nawet największy „gigant" musi się jednak kiedyś skończyć – dodaje znowu poważniej.

Trzy lata „na gigancie"... W przypadku Mirka to więcej niż połowa jego życia, licząc je odkąd został nastolatkiem, bo wcześniejsze lata się przecież nie liczą. Trzy lata „na gigancie" i jeszcze nie trafił na milicjanta...

A w warszawskiej Izbie Dziecka na Wiśniowej od początku roku naliczono już ponad tysiąc dwustu lokatorów, którzy trafili tu właśnie pod milicyjną opieką. Nie zagrali miejsca zbyt długo – większość jest w izbie zaledwie dwa, trzy dni, później odebrana przez rodziców albo przekazana do innych placówek. Wśród nich największą grupę stanowią uciekinierzy, których „gigant" został przerwany gdzieś na ulicach Warszawy. Często nie pierwszy i nie ostatni. Czasami przyczyny można uznać za tłumaczące taki właśnie krok uciekiniera: zła sytuacja domowa – konflikty, brak zainteresowania, alkoholizm. Czasami „byle jaki pociąg" kusi po prostu przygodą, czymś nieznanym, wolnością, której smak nie zawsze okazuje się wartym próbowania. Ale „na gigancie" samemu upodabnia się do giganta, do kogoś silnego, odważnego, decydującego o sobie i każdym swym kroku.

Tacy byli prawdziwi giganci, którzy kiedyś stanęli do walki z greckimi bogami. „Trwoga opanowała bogów, gdy posłyszeli z dołu idące okrzyki i ujrzeli na stokach swej świętej góry odważnych napastników. Dzeus tylko, spokojny i nieustraszony, wyznaczył każdemu z bogów stanowisko i sam jął razić wroga piorunami. Giganci nie ustępowali. Ciskane przez nich skały sypały się niby grad, a spadając do morza zostawały wśród jego fal jako wyspy. Pioruny nie wyrządzały im szkody. Dzeus, zajrzawszy do księgi Przeznaczenia, dowiedział się, że pokonać gigantów może tylko człowiek śmiertelny." Stało się to udziałem Heraklesa. Giganci zostali pokonani i strąceni przez Zeusa do Tartaru, tam gdzie przebywali przestępcy skazani na najcięższe kary.

A co z naszymi rodzimymi gigantami? Trwoga opanowuje rodziców i wychowawców, choć nie przed ciskanymi w ich kierunku skałami. Bo zresztą jeśli już w nich ciskać, to może raczej oskarżeniem o za małą wyrozumiałość, o za dużą surowość, o brak serdeczności czy może nawet tylko czasu na krótką rozmowę. Tylko tyle? Tak, tylko tyle. „Tylko tyle" – taki właśnie tytuł nosił pokazany niedawno w telewizji film o braku porozumienia między ojcem i dorastającym synem. Maciek, bo tak miał chyba na imię jego bohater, nie uciekł wprawdzie z domu, ale jego obecność tam była właściwie już formą ucieczki, do rzeczywistej ucieczki pierwszym krokiem.

Więc co z naszymi rodzimymi gigantami, z takimi jak Mirek, co to już trzy lata, z takimi jak Maciek, który są o krok przed pierwszą próbą? „Pomóc potrzebującym" – tak był zatytułowany artykuł w jednej z gazet, z którego zaczerpnąłem dane o uciekinierach. Tylko że tytuł ten nic nie wyjaśnia. Pomóc, ale jak? A może potrzeba im tylko tyle, ile Mackowi: porozumienia; tylko tyle, ile Mirkowi: wypełnienia jego samotności, którą odczuwa w domu i wśród rówieśników. Czasem jedno i drugie łatwiej znaleźć, wsiadając do „byle jakiego pociągu", w rozmowie z pierwszym napotkanym obcym człowiekiem, gdy przypadkowa wspólna podróż do niczego poza rozmową czy jakimś zdawkowym gestem nie zobowiązuje.

Ale całe nasze życie to podróż-gigant i nie warto jej odbyć w byle jakim pociągu. Może czas na przesiadkę?

Jarek

LWP'83

Znawcy problemu mówią, że dobrze wykonany latawiec wzleci w powietrze nawet przy niewielkim wietrzyku. Zależy to bowiem od umiejętności i dokładności oraz od „złotych rąk" jego konstruktora i budowniczego. Wasza letnia grupa ma szansę spróbowania swoich umiejętności również w tej dziedzinie: zorganizujcie zawody latających modeli.

Wykorzystajcie wzory zamieszczone na str. 68 naszej „wielkiej księgi lata". Ale możecie także zbudować latawce i samoloty według innych wzorów, wypróbowanych już, albo wykorzystać te „latające smoki", które wyczarowaliście własnymi rękami np. w osiedlowym klubie czy modelarni. Wybierzcie starannie teren zawodów, zapoznajcie się z długoterminową prognozą pogody dla waszego regionu.

Pamiętajcie o tym, że:

– na terenie zawodów (ani w pobliżu) nie może być żadnych linii przesyłowych, słupów czy konstrukcji;

– nie wolno organizować zwodów „latających machin" na ruchliwych placach, ulicach, szosach;

– w przypadku nadciągającej burzy przerwać zawody.

Życzę udanych konstrukcji i pomyślnych wiatrów!

Wasz WAGABUNDA

NASZE DRZEWA Cholewa / Klosowski

KASTANOWIEC ZWYCZAJNY

(Aesculus hippocastannum)

Ulubionym i często sadzonym, ozdobnym drzewem alejkowym jest kasztanowiec, drzewo liściaste, które w strefie umiarkowanej północnej występuje w 25 gatunkach. Kasztanowiec zwyczajny z rodziny kasztanowcowatych, w Europie środkowej rozpowszechnił się od 1575 roku, przybywając tu z północnej Grecji.

W kraju jest drzewem szybko rosnącym. Dochodzi do wysokości 30 m. Występuje na glebach wilgotnych i żyznych, gdzie rośnie pojedynczo. Rozmnaża się przez siew nasion i sadzonkowanie. Ma białe kwiaty z żółtawoczerwonymi plamkami. Kwiaty zebrane są w wiechy o długości 20–30 cm. Nasiona zwane kasztanami – 6 cm średnicy – dojrzewają w końcu września i chętnie są zjadane przez bydło i dziką zwierzynę. Dostarczają one też skrobi do wyrobu kleju i znajdują zastosowanie w medycynie.

Swego czasu kora bywała używana w medycynie, jako środek przeciw febrze, jak też do garbowania. Drewno kasztanowca zwyczajnego używane jest do wyrobu zabawek, zapałek masy papierowej oraz materiałów izolacyjnych.

W dalszym ciągu walczymy o dobre nogi i nie tylko. Stajemy w rozkroku. Podpieramy się pod boki. Z tej pozycji ćwiczymy skłony boczne możliwie najgłębiej. 10 razy w prawą i 10 razy w lewą stronę. Jeśli będzie Wam bardzo dobrze szło, możecie po 15 razy.

Podobne ćwiczenie proponowałam Wam w odc. 4. Żebyście się więc nie znudzili, dodatek specjalny.

Ćwiczymy w pozycji stojącej, oczywiście wyprostowane, ręce zgięte w łokciach pod kątem prostym do tułowia; palce rąk zaplecione przed klatką piersiową. „Pompujemy" mocno rękami, jakbyśmy między nimi miały piłeczkę. Mocno – 10 razy!

Nastka

Do walki, dziewczyny! (14)

INSTYTUT PIĘKNEJ SYLWETKI

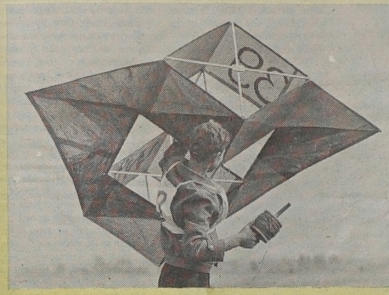

PAP RO
MA HIN
LA JĄ

Utarło się mniemanie, że latawce puszcza się jesienią na ścierniskach, a modelami szybowców zajmują się tylko przyszli konstruktorzy samolotów. A może by inaczej?

Szczegóły wielu ciekawych konstrukcji szybowcowych oraz wspaniałych latawców zawierają dwie książeczki Andrzeja Glassa, wydane przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą. Zachęcamy do ich wykorzystania, przedstawiając najprostsze, do wykonania prawie „z niczego".

Latawce bojowe, użyte przez Tatarów w bitwie pod Legnicą w 1241 r., miały kształt smoków i zionęły ogniem i gazami. Takiej konstrukcji nie ma proponowany model latawca składanego – rys. 1. Kartkę sztywnego kartonu należy zgiąć wzdłuż linii przerywanych, doczepić ogon z papierowymi kokardkami oraz przytwierdzić sznurek (usztywnić miejsce połączenia!), jak pokazano na rysunku 1b – i sprawdzić na wietrze, czyj latawiec wzbije się wyżej.

Również proponowany model szybowca nie wymaga niedostępnych materiałów ani zbyt wiele czasu i umiejętności. Wystarczy przerysować go w odpowiedniej skali na kartonie. Najlepiej zrobić szablon, żeby móc powielić model w tylu egzemplarzach, ilu uczestników liczy zastęp czy grupa NAL. Po wycięciu kartonu należy wyciąć dziurki w skrzydle w celu przesunięcia przez nie wzmocnienia, pogiąć wzdłuż linii przerywanych, wyważyć jak pokazano na rysunku.

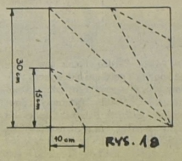

RYS. 1a

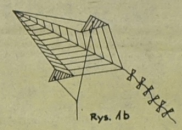

Rys. 1b

Model rzuca się dość silnie nieco w dół. Jeśli nurkuje, trzeba podgiąć ster wysokościowy do góry, jeśli zadziera – w dół, lub zwiększyć obciążenie dziobu. Zakręty likwiduje się przez odpowiednie wygięcie steru kierunkowego (pionowego). I do zawodów na odległość, celność, szybkość! **(kg)**

Fot. **Jerzy Dąbrowski**

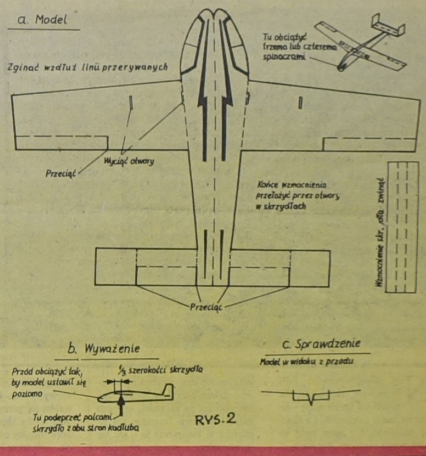

RYS. 2

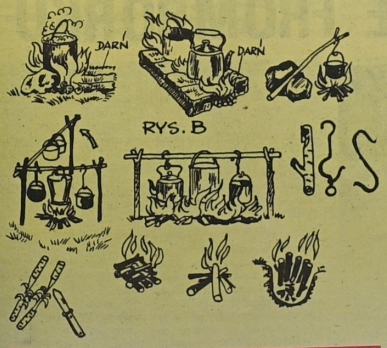

RYS. B

Na traperskiej ścieżce

RÓŻNE TRIKI POLOWEJ TURYSTYKI

Dziś „lekcja rysunkowa" bez zbędnych słów. Rys. A – sposoby przeprawiania się „suchą nogą" przez niewielkie rzeki, rowy i strumyki. Rys. B – to sprawy związane z ogniem – ogniska, gotowanie; suszarnię natomiast i sposób poszywania szałasu przedstawia rys. C. **(WAG)**

RYS. A

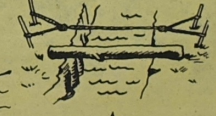

RYS. A

RYS. C

Z antologii „Ku pamięci"

NA STACYJCE „PRZYJAŹŃ"

Jak mkną pociągi po żelaznych szynach,
tak my szukajmy swych dróg.
Na maleńkiej stacyjce Przyjaźń
może kiedyś spotkamy się znów...

Ten czterowiersz, brzmiący jak refren piosenki, proponuje jako wpisywankę **Zbyszek Augustyniak** z Mysłowic. Doskonale nadaje się ona do pamiętnika obozowej sympatii.

A ta – do każdego:

Przyjaźń to cudny kwiat,
przyjaźń upiększa świat,
przyjaźń osusza łzy,
w przyjaźni żyjmy my!

(Nad. **Małgosia Lewandowska** z Puław.)

Natomiast kolejną wpisywankę podajemy nie tyle jako propozycję do wykorzystania, ile jako ciekawostkę historyczną:

Miła Kasia Sobczyk, miła Karin Stanek,
ale tyś najmilsza z wszystkich koleżanek

(Nad. **Renata Klimek** z Belna)

Tak wpisywało się pokolenie Waszych mam w latach 60. Obie bigbitowe wykonawczynie były wówczas tak popularne, jak dziś np. Kora. We wpisywankach z tamtej epoki pojawiają się też i inne gwiazdy, głównie telewizyjne, jak doktor Kildare (mamy go na pewno pamiętają), Święty czyli Simon Templar, kapitan Kloss („*obyś miał tak barwny los, jak kapitan Kloss*"), Czterej Pancerni... A dzisiejsi idole jakoś nie występują w pamiętnikach...

Z podróży po Abchazji (3)

W PODZIEMNYM ŚWIECIE

Pociąg wiózł mnie z Suchumi na północny zachód, do niedalekiego miasteczka Nowy Afon. Z lewej strony prawie nieprzerwanie błyskały fale morza, które tylko na krótko ukrywało się za przybrzeżnymi wzniesieniami. Po prawej ciągnęły się wzgórza – miejscami łagodne, to znów strome, ale prawie zawsze pokryte bujną zielenią, do której w Abchazji wzrok przyzwyczaja się bardzo szybko. Tylko w niektórych miejscach, zwłaszcza w bliskości Nowego Afonu, można było na zielonym tle zobaczyć żółtawe płaty obnażonych stoków, jakieś zupełnie łyse wierzchołki wzgórz czy szaro-żółte, kamienne osypiska.

O tych miejscach pozbawionych zupełnie roślinności miałem się wiele ciekawemu dowiedzieć później. Tymczasem pociąg zbliżał się do Nowego Afonu. Jeszcze jedno wzgórze przegrodziło nam drogę, nie było widać żadnego otworu tunelu, pociąg pędził tak, jakby zamierzał po prostu górę staranować, ale w odpowiednim momencie skręcił lekko, zwolnił i spokojnie zatrzymał się na peronie. Byłem w Nowym Afonie.

Miasteczko oraz uzdrowisko nosi tę nazwę stosunkowo niedługo, zaledwie sto lat, a sama miejscowość jest o wiele starsza i nazywała się kiedyś Anakopija. Nazwa ta pochodzi od abchaskiego słowa „anakop", która nie ma polskiego tłumaczenia, a znaczy mniej więcej „kręta droga, wiodąca w górę".

W miejscu tym, jak i wielu innych punktach abchaskiego wybrzeża, istniała starożytna osada i port. O tym ostatnim świadczą liczne znaleziska, na przykład wydobyte z morza staroreckie amfory, używane do przewozu wina i oliwy. Największą sławę przyniosła jednak Anakopiji potężna twierdza, wzniesiona z bloków wapienia w II–IV wieku naszej ery, a więc w czasach panowania rzymskiego.

Otóż w VIII stuleciu drogą między Kaukazem i Morzem Czarnym ruszyły na Europę potężne wojska arabskich zdobywców, które prowadził Murwan ibn Muhammed. Arabowie spustoszyli Armenię i Gruzję, przelamali obronę Wielkiego Muru Abchaskiego i posuwali się dalej. W roku 736 podeszli pod mury twierdzy w Anakopiji, w której schroniły się resztki wojsk gruzińskiego króla Arczyla i oddziały abchaskiego księcia Lewana I. Rozpoczęło się oblężenie.

W tym czasie – a był to rok 736 – Anakopija była potężnie umocnioną twierdzą z trzema pasmami murów i wieżami obronnymi, które wykorzystywały naturalną stromiznę skalnych stoków. Nic dziwnego, że kolejne szturmy nie dawały rezultatów. Wtedy wódz arabski Murwan postanowił wziąć twierdzę głodem, z ściślej pragnieniem. Nakazał zniszczyć w okolicy wszystkie koryta strumieni czy innych cieków, z których obrońcy mogliby czerpać wodę. Ale cóż – mijały tygodnie, a potem miesiące, nic jednak nie wskazywało na to, że obrońcom brak wody. Niedostatek jej dokuczał natomiast coraz dotkliwiej oblegającym wojskom. Zaczęły się szerzyć choroby i wiosną roku 737 w oddziałach arabskich wybuchła epidemia dżumy. Po niemal półrocznym oblężeniu wojska muzułmańskie rozpoczęły odwrót. Anakopija okazała się zaporą nie do przebycia dla zdobywców, którzy z taką łatwością przebyli całą Afrykę Północną i zagarnęli Półwysep Pirenejski...

Skąd obrońcy twierdzy czerpali wodę? Otóż jeszcze do dziś można w centralnej części zachowanych ruin oglądać wyrytą w skale cysterną-basen z wodą. W roku 1962 dno tego basenu badali płetwonurkowie. Odkryli oni metrowej średnicy studnię zakończoną mniejszym otworem, przez który nieprzerwanie wpływa do basenu chłodna, czysta woda... A kiedy próbowano z basenu wodę wypompować, strumień wypływający spod ziemi płynął szybciej i rychło wyrównywał poziom w basenie. I tak od piętnastu już wieków, jak wynika ze źródeł historycznych, poziom wody w basenie nie zmienia się.

Monaster – Nowy Afon

Zagadka wody w anakopijskiej studni nie jest już dziś żadną tajemnicą. Wrócimy do tej sprawy nieco później, kiedy zajmiemy się także żółtymi łysinami na okolicznych wzgórzach.

Na razie jednak zwiedzamy sąsiedztwo ruin twierdzy. Okolica ta – to dawny monaster Nowy Afon, po gruzińsku Achali Afoni. On to dał właśnie nową nazwę całej miejscowości.

Dzieje jego nie są zbyt długie, nie wykraczają poza setkę lat. Zaczął jednak trzeba od VII wieku, kiedy cesarz bizantyjski Konstantyn IV oddał mnichom we władanie górę Athos w Grecji. Powstał tam wielki ośrodek religijny, składający się z 20 klasztorów i monasterów, pustelni, kaplic. Z wielu krajów przybywali tu duchowni chrześcijańscy obrządków wschodnich. W XIX wieku grupa duchownych wywodzących się z Gruzji i południa Rosji postanowiła przenieść swój ośrodek z góry Athos na przyznane im ziemie u stóp Kaukazu. W roku 1875 podjęto budowę klasztoru, który nazwano Nowy Afon (Nowe Athos). Prace wkrótce przerwała wojna rosyjsko-turecka, ale podjęto je znowu. Trwały one w latach 1883–1900, przy czym w czasie robót odsłoniętych wiele interesujących fragmentów starej twierdzy, ale wiele też pochodzących z niej materiałów zużytkowano po prostu w charakterze budulca. Ostatecznie wzniesiono nie tylko monaster z soborem, pustelniami i szkołą religijną, ale także mnóstwo zabudowań gospodarczych, jako że mnisi zajęli się intensywnym wykorzystaniem ziemi uprawnej i przetwarzaniem płodów ziemi na wino, oliwę, spirytus i konserwy.

W łatach porewolucyjnych opustoszały monaster przekształcono z czasem na obiekt sanatoryjny, a rozległym majątkiem ziemskim zajął się sowchoz. Rozpoczął się nowy okres w dziejach Nowego Afonu – okres rozbudowy uzdrowiska.

W jaskini Abchazji

Ostatnio jednak można w różnych miastach Związku Radzieckiego – Moskwie, Leningradzie, Tbilisi czy Rostowie – spotkać młodych ludzi, którzy wybierają się do Nowego Afonu, a wcale nie sprawiają wrażenia osób wymagających leczenia sanatoryjnego. Przeciwnie: widać, że rozsadza ich siła i chęć działania. Czego więc będą tam szukać?

Otóż ci młodzi ludzie o sportowym wyglądzie penetrują podziemny świat Abchazji – liczne jaskinie. Niektóre znane są od czasów starożytnych, do innych udało się grotołazom przeniknąć dopiero w ostatnich latach. Są i takie, których badania zaledwie rozpoczęto, i których wielometrowej długości sale oraz korytarze kryją jeszcze wiele tajemnic. Jaskinie znaleziono w wielu rejonach Abchazji – i w górach na północy. Oczamczire, i w sąsiedztwie Suchumi, i w samym Nowym Afonie, i w północno-zachodniej części republiki.

Skąd ich tu taka obfitość? Rzecz w tym, że skały, z których zbudowana jest większość lasuchów górskich Abchazji, to wapienie. A te mają szczególną właściwość – rozpuszczają się w wodzie. Wprawdzie bardzo powoli, nieraz muszą upłynąć całe tysiąclecia, by pozostawił po sobie ślad, ale jednak rozpuszczają. Gdy płynące wody rozmywają skałę wapienną przez dłuższy czas, powstają podziemne korytarze, komory, jaskinie. Czasem podziemna komora staje się tak rozległa, a skała nad nią tak krucha i rozmyta, że ulega zawaleniu i na powierzchni powstaje rozległy lej. Czasem płynąca rzeka wpada w płucze sobie w dnie szczelinę do podziemnego korytarza i nagle zniknie, pozostawiając na powierzchni suche koryto. Czasem płaska powierzchnia skały wapiennej ulegnie po wielu tysiącleciach tak silnemu rozmyciu, że skała stanie się dziurawa niczym ser szwajcarski, woda opadowa będzie natychmiast uciekać w głąb i na powierzchni nie utrzyma się żadna roślinność...

Fot. **Janusz Fogler**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Chcą ich tu, czy nie?

HARCERZE ZNÓW WE FROMBORKU

Nie, nowej operacji „1001 Frombork" nie będzie, nie zanosi się też na akcję o takim jak tamta rozmachu, a zwłaszcza rozgłosie. Ale znów będą we Fromborku harcerze. Ba, już są...

Są po 10-letniej przerwie, jaka dzieli nas od minionej, a przy tym różnie – lepiej lub gorzej – wspomnianej operacji „1001". Skoro tak, to nadchodzi stosowny czas dla dziennikarza, by przejść się po mieście, nadstawić ucha i wybadać: jak też harcerze byliby tu dziś widziani? Chcą ich tu, czy nie?

Ucha nadstawiła red. Małgorzata Stojek z zespołu młodego, ale prężnego pisma „Cezary". A przede wszystkim udała się do przedstawicieli różnych instytucji i organizacji w mieście. Rozmawiała m.in. z naczelnikiem miasta i gminy, komendantem MO, a także księdzem wikarym – bo proboszcza akurat nie można było złapać. Dodajmy, że ruszyła nie tylko jako dziennikarz, ale i jako przedstawicielka harcerzy. Sama jest w wieku przedmaturalnym, a do Fromborka przyjechała na harcerski obóz kulturalny, w którego programie było m.in. wydawanie gazety.

W założeniu – miała być ta gazeta kontynuacją pisma „Na przełaj przez Frombork", jakie tu wychodziło podczas operacji „1001". I to wychodziło drukiem! Dziś trudno o tym marzyć: nowo narodzony organ „Cezary" wydawany jest dużo skromniej – pisane na maszynie artykuły, a także komunikaty, wiersze i piosenki po prostu ukazują się na... ścianie obozowej stołówki, na specjalnej tablicy. Ale – jak zauważyłem – czterem redaktorom dziennikarskiego noworodka nie podcina to skrzydeł, ochoczo ruszają w teren (zastanie ich na miejscu w komplecie to – jak się przekonałem – zupełna niemożliwość), a dzielna redaktor Małgosia Stojek z I LO w Elblągu umie śmiało zadawać pytania; nic też dziwnego, że to ona właśnie wyrżzyła „przesłuchiwać" ważne osoby w mieście.

Wyruszyła z dwoma pytaniami: „co spowodowało, że przez 10 lat nie było tu harcerzy?" oraz „czy są oni tu potrzebni?" Na pierwsze pytanie padały różne odpowiedzi: że wyczerpały się propozycje zadań dla harcerzy, że atmosfera panująca w ostatnich latach w kraju nie sprzyjała rozwijaniu akcji, że wreszcie – Zalew Wiślany zatruty. Za to w odpowiedzi na drugie pytanie wszyscy zgodnym chórem zakrzyknęli – a jakże, harcerze są potrzebni we Fromborku!

O tym, że ich tu chcą – dowiedzieli się harcerze właściwie już wcześniej. Oto już w zeszłym roku miasto zwróciło się do ZHP o pomoc. Ale tym razem nie szło – jak w przypadku „operacji 1001" – o to, by harcerze zakasali rękawy, wzięli do rąk łopaty i zabrali się za odnawianie. Prawdę mówiąc to i odpowiedniego frontu robót dzisiaj nie ma. Miasto jest schludne, odbudowane, ale... Nawet teraz, w sezonie wydaje się dość senne. Zjawiają się wprawdzie dość liczni turyści, zjeżdżają kolonie, jednak o tym, by stać się ośrodkiem wypoczynkowym Frombork nie może marzyć. Jak bowiem odpoczywać nad tak brudną i zatrutą wodą? O kąpieli w Zalewie nie ma dzisiaj mowy, chcąc korzystać z wody, trzeba się przeprawić stateczkiem do Krynicy Morskiej. Za to Frombork mógłby oferować inne atrakcje, zwłaszcza ludziom młodym – tylko trzeba takich, którym nie brakuje umiejętności i zapału.

Takimi mogliby okazać się harcerze. Więc miasto zaproponowało: niech wrócą i wprowadzą nieco ożywienia. ZHP odpowiedział: dobrze. Z tym, że nie zjawimy się tu jako pomagierzy. Będziemy robić to, co i tak zamierzamy robić, chcemy zrealizować własny program. Będziemy pracować nie tyle dla miasta – choć prac społecznych na jego rzecz nie wykluczamy – ale po prostu robić swoje w mieście. Pierwsza propozycja to LAHS – Lato Artystyczne Harcerzy Starszych.

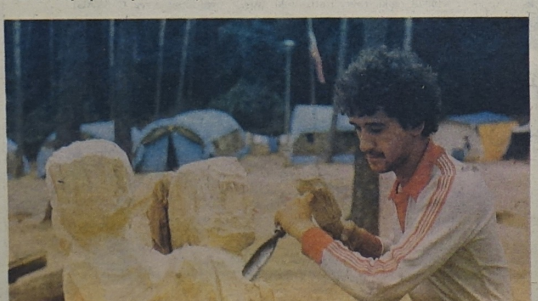
Uczestnicy obozu LAHS deklamowali, śpiewali, malowali, rzeźbili... Tu rzeźbi Staszek Bukowski, który zresztą często zmieniał dłuto na gitarę, dzięki czemu stał się gwiazdorem ognisk

Gdy przedstawiciele „ŚM" przyjechali do Fromborka – obóz LAHS-owski miał się już ku końcowi. Przyjechało nań około 70 harcerzy, uczniów szkół artystycznych z całej Polski. Tu pod okiem komendanta, którym był hm Jan Stefunio z Wydziału Kultury GK ZHP rzeźbili, malowali, grali na instrumentach; były występy teatralne i kabaretowe. No i wydano wiele numerów „Cezarego"...

Ale nie koniec na tym. We Fromborku zjawił się też znany już i uznany zespół harcerski „Małe Słowianki" z Krakowa. 200-osobowy zespół pieśni i tańca na swym fromborskim obozie szukał nie tylko odpoczynku. Cały czas trwały treningi i próby, a co najważniejsze – wokaliści i tancerze dali ponad 10 koncertów w mieście i okolicy. Jest szansa, że „Małe Słowianki" – które są zarazem harcerskim szczepem, złożonym z 10 drużyn – zadomowią się tu i będą stale przyjeżdżać na obozy.

Do Fromborka przyjechali też na obóz – w ramach harcerskiego lata naukowego – astronomowie. Im poświęcimy nieco więcej miejsca w jednym z następnych numerów. Tu zaś zdradzimy, że być może w przyszłym roku harcerze naukowców będzie we Fromborku więcej. Dr Zygmunt Kalisz, jeden z twórców ruchu naukowego w ZHP, zdradził nam, że organizatorzy ruchu noszą się z zamiarem urządzenia tu za rok interdyscyplinarnego oboru olimpijczyków. Wtedy to dopiero redaktorzy „Cezarego" – o ile pismo zostanie na rok wskrzeszone – zyskają nowy temat!

Skoro harcerze znów zjawili się we Fromborku – to i nas, przedstawicieli „ŚM" nie może zabraknąć. Na początek przedstawimy dwa reportaże. Jeden – o harcerskich astronomach i drugi o pewnym telewizyjnym kanale... Zdradzimy na razie tylko, że ten kanał będzie dla nas okazją, by sięgnąć do historii dawnej działalności harcerzy w mieście Kopernika. Przewidujemy kolejne relacje w przyszłym roku...

O ile, rzecz prosta, rzeczywiście będzie o czym pisać!

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. autor

Wiatraczków było trochę za mało na tegoroczny festiwalu. Kiedy z grupą pionierów bułgarskich jechałam z Warszawy do Kielc, to nieopatrznie wspomniałam o tym festiwalowym symbolu. Niestety, nie zrozumieliśmy się. Jak dotąd, nie wpadło mi jeszcze do głowy, aby zainteresować się, jak nazywa się „wiatraczek" po bułgarsku, czy w jakimkolwiek innym języku obcym. Obiecałam jednak Bułgarom, że pokażę im to „coś" na miejscu w Kielcach. Niestety, nieprędko mogłam spełnić tę obietnicę. Dopiero podczas koncertu w amfiteatrze na Kadzielni z ulgą dostrzegłam kilka skromnych wiatraczków na scenie.

W samym mieście nastrój festiwalu prawie nie było widać. Szare plakaty informowały wprawdzie o programie imprezy, ale rzadko zatrzymywali się przed nimi ludzie. Miejscowe gazety poświęciły festiwalowi kilka swoich kolumn. Ale jeśli założyć, że połowa kielczan czyta gazety, 10 procent mieszka w pobliżu Kadzielni, Placu Obrońców Stalingradu, parku miejskiego, gdzie odbywały się koncerty, 5 procent dowiedziało się o imprezie przypadkiem – to i tak – choć wynik mocno przesadzony – wychodzi na to, że bardzo duża część mieszkańców w ogóle nie wiedziała, że w Kielcach odbywa się X Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej...

Wzięło w nim udział w tym roku ponad 2000 dziewcząt i chłopców z całej Polski, a także z zagranicy. Kielecki festiwal staje się więc imprezą międzynarodową! Goście – pionierzy z sześciu krajów socjalistycznych przyjechali przyświetnie dopięci na ostatni guzik. Widać to było już przy powitaniu. Delegacja radziecka ledwo się wytoczyła z pociągu z pięćdziesięcioma walizami, pudłami na stroje, perkusją i gigantyczną bałałajką! Bułgarzy przylecieli z Sofii samolotem – wszyscy z jednakowymi, granatowymi walizkami, kontrabasem i akordeonem. Z tym kontrabasem to nawet było wielkie zmartwienie na sofijskim lotnisku, ponieważ zażądano dla niego normalnego biletu pasażerskiego... Rumuni natomiast przywieźli ze sobą cymbały wielkie jak fortepian, z którymi ciągle był jakiś kłopot. A to noga zginęła, a to pedał się złamał i prawie nigdy nie można było znaleźć chętnych do przenoszenia ogromnego instrumentu z miejsca na miejsce.

Festiwalowy młyn ruszył natychmiast pełną parą: niezliczone próby, przygotowania, koncerty. Na zwiedzanie Polski, a nawet Kielc brakowało czasu. Toteż Kraków goście zaliczyli w ciągu trzech godzin, Wieliczkę w ciągu dwóch, a w Warszawie byli aż pięć godzin. Jednak mały **Denis**, tancerz-solista z **Zespołu Pieśni i Tańca im. Łoktiewa w Moskwie**, zawsze znajdował czas na pogaduszki. Podczas koncertu z okazji 22 lipca o mały włos nie odwołano programu grupy radzieckiej właśnie z jego powodu. Opiekun zespołu **Aleksiej Ilijn** i cała komenda obozu zagranicznego przez pół godziny stawała na głowie, żeby go znaleźć. Ktoś nawet zawiadomił milicję. A on się... po prostu zagadał z niemieckimi kolegami.

Faworytem festiwalowej publiczności już na samym początku stał się **Romeo z Rumunii**. Kiedy tylko wychodził na scenę ze swoim bambusowym instrumentem zwanym fachowo „fletnią Pana" zrywały się burze oklasków. A kiedy grał popularną na całym świecie melodię George Enescu, w której naśladował na fletni głosy ptaków, to publiczność dosłownie szalała. Romeo ma 15 lat. Jest członkiem dziecięcego zespołu ludowego **„Młode pędy Prahowej"**. Na fletni gra już od bardzo dawna, a nuczył się tego od ojca:

– *Mój tata nie tylko doskonale gra na fletni, ale również sam potrafi ją zrobić. Wykorzystuje do tego około pięciu bambusowych wędek i dobry klej. Duża fletnia składa się z 22 do 24 rurek. Ja próbowałam zrobić małą, o 15 rurkach. Wydała, bo warsztaty są jedną z lepszych stron kieleckiej imprezy. Tak przynajmniej twierdzi większość jego uczestników. W polskim obozie ludowym zagranicznej goście mogliby się wiele nauczyć, a także zawrzeć nowe, ciekawe znajomości. Tymczasem wszystkie delegacje kisiły się we własnym sosie w oddzielnym obozie zagranicznym pod opieką zaledwie garstki **„Dzieci Płocka"**, które pełniły honory gospodarzy.*

Chór CZA ZHP wyśpiewał sobie w Kielcach Złotą Jodłę

OBEREK NIE POWĘDROWAŁ DO BUŁGARII...

Romeo i... jego fletnia

szła mi całkiem nieźle. Tę, na której gram na festiwalu, zrobił właśnie mój ojciec.

Jak mi życzliwi donieśli – Romeo jest w tej chwili w Rumunii jednym z najlepszych wykonawców muzyki na „fletni Pana". Drugim atutem zespołu rumuńskiego była 14-letnia **Luminica** z głosem jak prawdziwy dzwon, który odziedziczyła po swojej mamie – śpiewaczce Zespołu Pieśni i Tańca „Prahowa".

Dynamiką tańców i kolorystyką ludowych strojów zaskoczyła festiwalową publiczność ekipa bułgarska z **Dziecięcego Zespołu Folklorystycznego „Ludogorcze" z Rozgradu**. Każda ze wspomnianych granatowych walizek zawierała 4 ludowe kostiumy – niesłychanie barwne, wyszywane złotem i ozdobione pióreami. Na koncertach nogi śmigające w niesłychanym tempie w rytmie rącznicy czy kopanicy wprawiały mnie w podziw, tym bardziej, że po występach bułgarscy pionierzy mieli jeszcze siły na rozmaite harce, a nawet... dyskotekę.

Czechosłowację reprezentował **Ludowy Zespół Dziecięcy „Kopaniczijarik" z Myjawy na Słowacji**, który nie tylko tańczy i śpiewa, ale również zbiera po wsiach ludowe piosenki i przyśpiewki, przypatruje się starym tańcom i zabawom, a potem sam je opracowuje na scenę.

Z Budapesztu przyjechały maluchy sześcio i siedmioletnie, toteż ich programy były raczej zabawą na scenie, niż występami. Niemniej jednak świetnie się prezentowały w ludowych strojach węgierskich.

Jedynym nie ludowym zespołem była grupa muzyczno-wokalno-taneczna z **NRD**, która przyjechała z repertuarem młodzieżowym i współczesnym.

Pan **Stefan Iwanow**, kierownik artystyczny zespołu bułgarskiego, z uporem godnym prawdziwego „Kapanca" (czyli mieszkańca okolic Rozgradu – przysłowiowego uparciucha) powtarzał bez przerwy: „chcemy nauczyć się tańczyć oberka i mazura". Niestety, obóz zagraniczny w ogóle nie brał udziału w warsztatach artystycznych prowadzonych podczas festiwalu. A szkoda, bo warsztaty są jedną z lepszych stron kieleckiej imprezy. Tak przynajmniej twierdzi większość jego uczestników. W polskim obozie ludowym zagranicznej goście mogliby się wiele nauczyć, a także zawrzeć nowe, ciekawe znajomości. Tymczasem wszystkie delegacje kisiły się we własnym sosie w oddzielnym obozie zagranicznym pod opieką zaledwie garstki **„Dzieci Płocka"**, które pełniły honory gospodarzy.

Toteż Bułgarzy (i nie tylko) odjeżdżali z Polski trochę zawiedzeni z tego właśnie powodu. Udało im się tylko zapamiętać pierwszą zwrotkę piosenki „Szła dziewczeczka do laseczka", którą bardzo polubili i nucili na każdym kroku.

Jodeł w tym roku było w bród. Wszystkich razem aż 39! Zespoły zagraniczne uhonorowane zostały nowym wyróżnieniem festiwalowym – jodłami przyjażni. Trzeba przyznać, że goście uczciwie sobie na nie zapracowali. Kto oglądał koncert galowy, na pewno się ze mną zgodzi! Dopiero króciutki program gości (reżyser widowiska przeznaczył zaledwie kilkanaście minut pod koniec koncertu na występy wszystkich sześciu grup zagranicznych) rozruszał widownię w amfiteatrze na Kadzielni. Reszta wypadła jakoś monotonnie i bezbarwnie, może z wyjątkiem równie krótkiego programu polskich zespołów ludowych, który dowcipnie poprowadził **dh Józef Broda** ze swoim zespołem z Istebnej. Goście pokazali prawdziwą klasę i byli ozdobą jubileuszowego festiwalu. I gdyby nie oni, festiwal pozostałby prawie bez ozdób...

JOLANTA ZDANOWSKA
Fot. **Jacek Łopuszyński**

P.S. O Dziecięcym Zespole Pieśni i Tańca im. Łoktiewa z Moskwy przeczytacie w jednym z następnych numerów.

Słowackie spódniczki fruwały i szeleściły w rytmie skocznych melodii...

STRZAŁ W „10"

Z daleka widać rząd kolorowych tarcz. Co kilkanaście sekund pierzasta strzała przecina powietrze i ląduje blisko środka. W odległości 50 metrów stoi wysoki, szczupły młodzieniec. Wolno, jakby majestatycznie napina cięciwę, przez dłuższą chwilę mierzy, wreszcie miękko puszcza palec prawej ręki zwanej „cięciwną". Każdy trening to 40 serii po trzy strzały, a tzw. „twardość" łuku czyli w przeliczeniu siła napięcia cięciwy, wynosi kilkanaście kilogramów. Oprócz znakomitego oka i umiejętności koncentracji w regularnych seriach, potrzebne są także silne ręce. Wszystkie te walory posiada Darek Głębocki.

Do sportu trafił jako dziewięciolatek. Treningi rozpoczął w sekcji tenisowej warszawskiej „Legii". Przez ponad dwa lata należał do wyróżniających się zawodników. W tym czasie, w Szkole Podstawowej nr 233, do której uczęszczał, prowadzono nabór do sekcji szermierki. Nowa, nieznana dyscyplina zainteresowała go. Treningi w AZS Warszawa dawały mu wiele radości i satysfakcji. Już po kilku miesiącach należał do najlepszych szermierzy w grupie. Dla poprawienia kondycji zapisał się także na biegi, które trenował pół roku. Już wówczas wyróżniał się wśród, rówieśników dobrymi warunkami fizycznymi, co pretendowało go do uprawiania wielu dyscyplin sportowych. Wszechstronnie uzdolniony, musiał jednak wybierać: tenis czy szermierka, a może biegi? Jeszcze wówczas nie myślał, że będzie to zupełnie coś innego. Mieszkając kilkaset metrów od stadionu RKS „Marymont" często przychodził podglądać treningi sportowców. Szczególnie podobali mu się łucznicy. Białe stroje, duże, skomplikowanie wyglądające łuki, kolorowe strzały – to wszystko działało na wyobraźnię młodego chłopaka. Bardzo lubił siadać w pobliżu torów łuczniczych i patrzeć jak strzały dziurawią coraz to nowe barwne tarcze. Już wtedy myślał, że chciałby postrzelać z takiego prawdziwego, sportowego łuku. Marzenia ziściły się wcześniej niż przypuszczał. Szkoła nr 233 została przejęta pod patronat sekcji łuczniczej „Marymontu". Oczywiście z miejsca zapisał się do grupy łuczników. Dostał swój pierwszy łuk, jakaż to była frajda! Dwa razy w tygodniu spotykali się na treningach, na które czekał z wielką niecierpliwością. Pod okiem pierwszego trenera – pani **Wandy Więckowskiej** strzelał coraz lepiej. Zdobył mistrzostwo szkoły a następnie Mistrzostwo WOM. Rozpoczął regularne zajęcia w klubie z znakomitym specjalistą trenerem **Michałem Januszewskim**. Stale poprawiał rekordy życiowe na wszystkich dystansach. W ubiegłym roku wyśrubował je na poziomie: 30 metrów – 342 pkt., 50 m – 300 pkt., 70 – 289 pkt. i 90 m – 268 pkt. Już przed rokiem wziął udział w Mistrzostwach Polski seniorów w Prudniku, gdzie uzyskał w wieloboju bardzo dobry wynik: Ł ZAB – 2294 pkt. W tym samym sezonie wystrzelał na zawodach 2299 punktów, a więc tylko 1 punkt zabrakło mu do I klasy sportowej. Jak na juniora to naprawdę duże osiągnięcie. W obecnym roku postanowił dołożyć do swojego rekordu ten jeden mały punkcik. Podejmował kilka prób, ale żadna jeszcze nie przyniosła sukcesu, chociaż zanotował sporo cennych osiągnięć. W czerwcowych Mistrzostwach Warszawy juniorów zdobył pierwsze miejsce. Trochę gorzej powiodło mu się na Spartakiadzie Młodzieży. Liczył na podium, ale gorsze strzelanie na swoim „feralnym" dystansie – 70 metrów sprawiło, że zajął „tylko" siódme miejsce. Obiecał sobie rewanż w przyszłym roku. Jest optymistą, jako że wszyscy najgroźniejsi rywale kończą wiek juniorski i nie będą już na spartakiadzie startowali.

Obecnie Darek przygotowuje się do zawodów o Puchar Polski w Poznaniu. Wierzy że forma wzrośnie i uzyska te swoje wymarzone 2 300 punktów. Koryguje jeszcze pewne błędy techniczne. Znacznie polepszył „rękę łuczną", a więc tę, która przytrzymuje łuk, natomiast rezerwy posiada w zwalnianiu „ręki cięciwnej". Jeżeli i tu się poprawi wyniki będą na pewno dużo lepsze.

Pomimo kilkuletnich treningów, łucznictwo nadal go pasjonuje. Każdą wolną chwilę poświęca na treningi. Nie ma kłopotów w szkole (Technikum Mech. nr 3), rodzice także aprobują jego sportową pasję. Do tego dochodzą dobry sprzęt, który otrzymuje w klubie i świetny trener pan Januszewski – a więc warunki ma znakomite. Nadzieje na przyszłość są uzasadnione. Darek ma bogate plany. Chciałby zdobyć I klasę sportową, wygrać Spartakiadę Młodzieży i trafić do Kadry B seniorów. Ma duży talent i lubi pracować, a te dwie cechy razem muszą przynieść efekty.

Tekst i zdjęcie:
ANDRZEJ BACZYŃSKI

GWIAZDOZBIÓR

AŁŁA PUGACZOWA

ARTYSTKA BEZPRETENSJONALNA

„Żyć, płonąć, a nie tylko istnieć" – słowa piosenki napisanej wg wiersza Ilji Reznika pt. „Wznieś się ponad marność" stanowią credo życiowe i artystyczne Ałły Pugaczowej. Gościliśmy ją w Polsce wielokrotnie – ostatnio bardzo niedawno – na Zielonogórskim Festiwalu Piosenki Radzieckiej, po zakończeniu którego mieliśmy okazję podziwiać ją jeszcze przez kilkanaście dni w trakcie tournée po wielu polskich miastach. Wszędzie przyjmowano ją bardzo gorąco. Podoba się, bo jest wyjątkowa. Urzeka nie tylko timbrem głosu, ale temperamentem estradowym, sposobem poruszania się, zachwyca fantazyjnym kostiumem i nakijażem. Ma styl. Nic dziwnego więc, że po jej wyjeździe pozostały nam nie tylko wspomnienia i piosenki, ale i moc teledysków.

Indywidualistką była od... zawsze. Już jako uczennica moskiewskiej szkoły muzycznej zwracała uwagę profesorów umiejętnością tworzenia własnej, niepowtarzalnej w stylu interpretacji każdego utworu. Studiowała pianino, ale czas wakacji dla niej był czasem gitary. Wędrowała z nią po Związku Radzieckim i śpiewała: w Gruzji, na Ukrainie, na Syberii... Do tych występów przygotowywała się starannie. Piosenki w jej repertuarze stanowiły na ogół własne kompozycje z własnymi tekstami. Mówiły o miłości, pracy – sprawach bliskich każdemu człowiekowi.

– Praca zabiera wszystko. Aż wstyd się przyznać, ale nie mam żadnego hobby. Jedna idea, jedno zainteresowanie – praca, piosenka – powiedziała niedawno Ałła dziennikarce udzielając wywiadu do „Kraju Rad".

Jest sławna. Ale, tak jak w wielu artystycznych biografiach, przypadek zadecydował o jej powodzeniu na estradzie. Na próbie programu „Pif-paf" Lifszyca i Lewenbuka otrzymała propozycję występu z piosenką „Robot" Mierabowa i Tanicza. Miała przygotowywać się do tego występu dwa dni. Już po 20 minutach od chwili wzięcia do ręki tekstu i nut – zaśpiewała, i to tak, że otrzymała natychmiastowy angaż.

„Robot" w jej interpretacji stał się radiowym przebojem. Debiutantka stała się gwiazdą.

Skąd styl tej piosenkarki tak odbiegający od sposobu śpiewania innych radzieckich, nawet znakomitych piosenkarzy, który tak przypadł do gustu publiczności? Ałła twierdzi, że znalazła go... w cyrku.

Po skończeniu szkoły muzycznej rozpoczęła pracę jako akompaniatorka w szkole cyrkowej. Dzięki przyjaciołom z tego dziwnego świata areny upodobała sobie styl „piosenkarki-clownessy": niekonwencjonalne kostiumy, ruch, wyrazista mimika. Stąd pewno ta niebywała filmowość każdego jej „numeru".

Stworzyła własny zespół muzyczny „Elektron", z którym odbywa wciąż tournée po Związku Radzieckim. Ale prawdziwą popularność w kraju przyniósł jej dopiero wielki sukces – Grand Prix na festiwalu „Złoty Orfeusz" w 1975 r., za gorzki śmiech z „Arlekina" i telewizyjne występy. W rok później gościliśmy Ałłę w Sopocie. Wystąpiła poza konkursem, jako gość honorowy.

Każdy rok w jej karierze – to rozwój. Coraz głębsze stają się jej piosenki, coraz więcej w nich akcentów dramatycznych. W ostatnim swoim programie „Monologach piosenkarki" śpiewa o sprawach, jak mówi, odwiecznych. Następny program planuje jako mniej romantyczny, a bardziej filozoficzny.

– Chciałabym przedstawić w nim swoją ocenę świata, swoje myśli, wszystko, co wymyślono i przeżyto, i dobre i gorzkie. Chcę widzów wyzwać na szczerość, na pojedynek: mówcie, kłóćcie się ze mną!

Po raz pierwszy do Sopotu Ałła Pugaczowa przybyła z Moskwy tuż po prapremierze filmu reż. Aleksandra Orłowa pt. „Kobieta, która śpiewa". Kreowała w nim główną rolę. Obecnie gra jedną z głównych ról w filmowej komedii muzycznej pt. „Miłość za miłość" w reż. Tatiany Bierezancewej realizowanej wg szekspirowskiej sztuki „Wiele hałasu o nic". Myśli też by wraz z mężem, reżyserem Aleksandrem Stefanowiczem nakręcić nowy film muzyczny. Kamera więc wabi ją coraz bardziej...

(eb)

Ałła: romantyczna, filozoficzna i zwyczajna

Fot. **archiwum**

DOM MODY
świata młodych

SAMA SŁODYCZ

Dwa tygodnie temu wspominałam o ciuchach romatycznych w stylu westernowym. Dzisiaj z kolei – romantyka bardzo słodka, taka wręcz... landrynka. Dużo bieli i innych pastelowych kolorów. Falbanki, szczypanki, koronki, kokardki... Sztuczne kwiatki, sztuczne perełki... No – sama słodycz.

Nie jest to oczywiście strój na co dzień, ale jeśli komuś wypada jakaś wielka gala pod koniec wakacji (parę listów dostałam zaczynających się od słów: „Zostałam zaproszona na wesele kuzynki..." i ten ktoś tak czy siak strój sobie jakiś wystrzałowy ma zamiar na ową okazję sprawiać, to zwracam uwagę, że powakacyjna opalenizna w takich romantycznych słodyczach prezentuje się nadzwyczaj korzystnie.

Oczywiście w ramach tego słodko-romantycznego stylu mogą być bardzo różne ciuchy (choć zawsze są to sukienki, albo bluzki ze spódniczkami). Zarówno obfitujące w olbrzymie ilości drogich koronek powiewne szaty, jak i całkiem skromne sukieneczki z białego (kremowego, różowego, błękitnego itp.) cienkiego płóciennego ozdobione np. co prawda pracochłonną, ale możliwą do wykonania własnoręcznego mereżką czy jakimś delikatnym, także własnoręcznym hafcikiem. Istotne będą dodatki. Czyli właśnie kwiaty (sztuczne) we włosach, jakieś delikatne koraliki, torebeczka pasująca do całości stroju, paseczek... Jeśli ktoś wykaże odpowiednią inwencję jest sobie w stanie sprawić taki ciuch zupełnie tanim kosztem. Oczywiście, jeśli ma ochotę się ludziom tak na słodko zaprezentować.

RIUSZKA

UBEZPIECZENIE MOTOCYKLI

Lato w pełni. Na szlaki turystyczne wyjechali motocykliści. O przypomnienie niektórych spraw związanych z ubezpieczeniem motocykli zwracamy się do mgr Macieja Kisielewicza – naczelnika w Biurze Ubezpieczeń Komunikacyjnych Centrali PZU.

Motocykle podlegają obowiązkowym ubezpieczeniom komunikacyjnym w ograniczonym zakresie tj. odpowiedzialności cywilnej (OC) i następstw nieszczęśliwych wypadków (NW). W ramach ubezpieczenia OC tj. odpowiedzialności cywilnej PZU chroni posiadacza (kierowcę) motocykla przed jego odpowiedzialnością materialną (nie karną) za szkody wyrządzone w związku z ruchem tego pojazdu. Z ubezpieczenia tego wypłacane są świadczenia osobom poszkodowanym wówczas, gdy posiadacz (kierowca) pojazdu zobowiązany jest do naprawienia wyrządzonej szkody. Dotyczy to zarówno wypadków, w wyniku których poszkodowani doznali obrażeń ciała lub ponieśli śmierć, jak też szkód polegających na utracie, zniszczeniu lub uszkodzeniu mienia. Świadczenia wypłacane są zatem w granicach odpowiedzialności cywilnej posiadacza lub kierowcy pojazdu.

Świadczenia wypłacane z ubezpieczenia OC są świadczeniami pełnymi albowiem obejmują straty, jakie poszkodowany poniósł wskutek wypadku oraz korzyści, które mógłby osiągnąć, gdyby nie wyrządzono mu szkody. Za zaistniałą szkodę nie zawsze ponosi odpowiedzialność właściciel (kierowca) pojazdu. Występują sytuacje, kiedy wypadek zaistniał wyłącznie wskutek nieostrożności poszkodowanego np. przechodnia. Liczne są także przypadki odniesienia obrażeń przez samego kierującego pojazdem. Świadczenia nie przysługują wówczas z ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej, a służebną rolę spełnia tu ubezpieczenie następstw nieszczęśliwych wypadków, zapewniając doraźną pomoc materialną poszkodowanym. Z ubezpieczenia tego poszkodowanemu, a w razie jego śmierci osobie uprawnionej, wypłacane jest świadczenie o charakterze jednorazowym. Świadczenie to ustalane jest w wysokości 600 zł za każdy procent trwałego uszczerbku na zdrowiu, nie mniej niż 2 000 zł i nie więcej niż 60 000 zł. W razie śmierci poszkodowanego świadczenie wypłacone jest w kwocie 30 000 zł. Motocykle nie podlegają obowiązkowemu ubezpieczeniu auto-casco. Posiadacze motocykli mogą natomiast zapewnić sobie ochronę ubezpieczeniową poprzez zawarcie ubezpieczenia dobrowolnego. Składka roczna za ubezpieczenie motocykli uzależniona jest od wielkości pojazdu i wynosi: dla motocykli do 125 cm^3 – 300 zł. a o pojemności powyżej 125 cm^3 do 250 cm^3 – 350 zł. Koszt ubezpieczenia motocykla o pojemności silnika powyżej 250 cm^3 wynosi 400 zł a motoroweru – 200 zł. W ramach tego ubezpieczenia PZU wypłaca odszkodowanie za szkody wynikłe wskutek uszkodzenia, zniszczenia lub utraty pojazdu. Odpowiedzialnością objęte są szkody zaistniałe wskutek wypadków spowodowanych przez samych posiadaczy, a także pojazdu. Ubezpieczeniem objęte są także szkody powstałe w wyniku kradzieży motocykla lub jego części. Trzeba pamiętać, że za szkody kradzieżowe PZU ponosi odpowiedzialność tylko wówczas jeżeli motocykl był właściwie zabezpieczony poprzez umieszczenie go w zamkniętym pomieszczeniu albo – co na miejsce podczas wojaży turystycznych – poprzez unieruchomienie koła lub kierownicy. W razie zaistnienia szkody PZU wypłaca odszkodowanie w granicach aktualnej wartości motocykla, tj. aktualnie obowiązującej ceny detalicznej pojazdu pomniejszonej o kwotę amortyzacji. W praktyce oznacza to, że posiadacz pojazdu nie pokrywa z własnej kieszeni różnicy wynikającej ze zmiany cen. Podobnej jak w ubezpieczeniach auto-casco samochodów, posiadacze motocykli ponoszą udział własny w razie uszkodzenia pojazdu wskutek wypadków przez siebie spowodowanych. Kwota udziału własnego jest jednak odpowiednio niższa i wynosi 1000 zł. Szczegółowych informacji w sprawie ubezpieczenia motocykli udzielają inspektoraty PZU oraz pośrednicy ubezpieczeniowi, którzy służą radą i zawierają umowy ubezpieczenia.

(K-50)

W podziemnym świecie

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

Zjawiska tego rodzaju po raz pierwszy szczegółowo opisano na wapiennym płaskowyżu Kras w Jugosławii, stąd też nazywa się je zjawiskami krasowymi. Tak więc zjawiska krasowe spotwodowały, że na wielu obszarach Abchazji sąsiadują z zielonymi sadami i plantacjami łyse powierzchnie obnażonych skał wapiennych. One też sprawiły, że studnia w anakopijskiej twierdzy, połączona z podziemnymi zbiornikami, nigdy wyschnąć nie może.

Wzniesienie w Nowym Afonie, na którym znajdują się ruiny twierdzy i główne zabudowania dawnego monasteru, nosi nazwę Góry Iwerskiej. W stokach tej góry od dawna znana była jaskinia, ale przez całe wieki nikt nie znał jej rzeczywistych rozmiarów. Dopiero kilka wypraw gruzińskich grotołazów dało pojęcie o jej wielkości. Spenetrowano korytarze długości setek metrów i kilka ogromnych sal, w których z łatwością zmieściłby się sześciopiętrowy blok. Wąskie, częściowo zawalone szczeliny w ścianach korytarzy i otwory w dnie podziemnych jezior pozwalają sądzić, że jaskinia, którą nazwano Anakopijską, ma liczne rozgałęzienia. Grotołazi na pewno podejmą próby spenetrowania ich. Na razie jednak część zbadanej jaskini Anakopijskiej udostępniono turystom. Zabezpieczono przejścia, oświetlono podziemne sale, ułatwiono dostęp do wejścia – i w ten sposób Jaskinia Anakopijska stała się jedną z głównych atrakcji turystycznych Nowego Afonu.

EDWARD KARŁOWICZ

Fragment książki pt. „Palmy pod śniegiem" z serii „Globus" przygotowywanej do wydania przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą.

O literaturze s-f polemicznie

Oto „fantazja rysowana" – obraz powierzchni planety Wenus, oglądany przez załogę, która wylądowała na jej powierzchni. Fantastyczne figury, to zastygła lawa wulkaniczna

Rys. A. Sokołow

Wnawiązaniu do artykułu Pawła Usidusa pt. „Science fiction" chciałbym się wypowiedzieć na temat tej literatury czyli literatury fantastyczno-naukowej.

Utwory fantastyczno-naukowe stanowią tę odmianę literackiej fantastyki, która próbuje przewidywać przyszłe osiągnięcia nauki i wyobrazić sobie ich wpływ na rzeczywistość i życie człowieka. Źródłem niezwykłości opowiedzianych tu zdarzeń jest więc nie z góry założona niezgodność z prawami nauki – przeciwnie refleksja nad zakresem praw nauki, jej problematyką i perspektywami. Stąd, a także z ograniczoności wyobraźni człowieka, wynika fakt, że większość autorów uprawiających science-fiction rezygnuje z dalej idących ambicji artystycznych, eksploatując różne warianty podobnych i często powtarzających się pomysłów fabularnych. Dlatego nie zgodzę się tu z kol. Usidusem, ponieważ uważam, że sprawy nauki i przyszłości człowieka to wartości cenniejsze od możliwości przeżycia niezapomnianych chwil. Autorzy wychodzący z takiego założenia tworzą bardzo obfitą w ostatnim stuleciu gałąź piśmiennictwa wyłącznie rozrywkowego, analogiczną do powieści kryminalnych czy sensacyjno-przygodowych, a te jak wiemy są przez krytykę literacką bardzo nisko cenione za brak większych wartości. Fantastyka naukowa jest więc moim zdaniem pojęciem nierozerwalnym z nauką.

Fantastyka naukowa przychodzi do nas wraz z początkiem wieku XX a więc wraz z rozwojem nauki i techniki. Znajduje więc podłoże literatura fikcji opartej na nauce. Podłoża tego nie znalazłaby w wieku IX gdzie fantastyka to duchy i upiory (nie ujmowało to wcale atrakcyjności utworom). Science-fiction ma swoje zasługi. Nie w oderwaniu jednak od nauki wybiegała w przyszłość, pobudzała wielu ludzi do sprawdzania tejro co ona przedstawiała jako fikcję. W ten sposób opowiadania Walerija Cyganowa czy Jurija Nikitina sprawiły, że dziś wiemy, że na Marsie nie ma możliwości istnienia życia a "ym samym nie ma możliwości istnienia tam żadnej cywilizacji. Nie robią tego ludzie bezmyślni. Bardzo popularny Stanisław Lem posiada w swoim dorobku zbiory szkiców i rozpraw będących bezpośrednim świadectwem jego wiedzy i podejmujące zagadnienia z zakresu różnych dziedzin nauki (np. Summa technologiae, Filozofia przypadku, do których przeczytania zachęcam czytelników TOMIKA).

Powracając do podłoża naukowego literatury tu omawianej na przykładzie np. opowiadań drukowanych w „Młodym Techniku" samo nasuwa się przypuszczenie, że autorzy tych utworów muszą być ściśle związani z nauką i techniką. Problematyka takich utworów dotyczy przede wszystkim właściwości oraz granic ludzkiego poznania. Utwór, w którym są poruszone sprawy takie jak możliwość kontaktu człowieka z inną formą świadomości niż świadomość ludzka, samorzutna ewolucja stworzonych ogniś przez człowieka myślących automatów, czy rozważanie unikalności fenomenu życia lub problemu długotrwałych podróży kosmicznych (różnica upływu czasu na Ziemi i w kosmosie) są związane z prawami naukowymi już oczywistymi a więc siłą rzeczy zmuszają czytelnika (nawet po wielu latach) do przemyśleń i rozwiązania problemu lub urzeczywistnienia i zastosowania w praktyce fikcyjnych pomysłów.

Tak więc stwierdzenie, że „niby naukowe teorie, na których się opierają te utwory, są tylko skromnym marginesem" (P. Usidus) krzywdzi mom zdaniem fantastykę naukową odbierając jej to najcenniejsze – naukę – matkę przyszłości.

Robert Szewczyk
Stara Iwiczna ul. Słonecznа 58
05-500 Piaseczno

I znowu na łamach TOMIKA problem z dziedziny literatury s-f. Tym razem Robert Szewczyk nie zgadza się z Pawłem Usidusem w ocenie tej twórczości. Również polemiczna jest wypowiedź Andrzeja Gurowietza, ale dotycząca możliwości istnienia życia we wszechświecie. Obydwa listy są ciekawe, warto więc je przeczytać z uwagą.

PREZES

PROCESY RUJNUJĄ...

(PAP). Na ziemi tarnowskiej jest jeszcze blisko sto zabytkowych dworków. Wśród nich XVII-wieczny tzw. Dworek Starościński w Lipnicy Murowanej. Aż trzydzieści osób, krewnych obecnego właściciela, pana w bardzo podeszłym wieku, procesuje się o uzyskanie prawa własności. "Trwa to już kilka lat, a piękny dworek popada w ruinę. Za kilka lat nie będzie się już zapewne o co procesować... Szkoda tylko, że w wyniku rodzinnych sporów może zniknąć jeden z najwartościowszych zabytków w Lipnicy Murowanej. (**kd**)

ARTYŚCI Z KUŹNI

CZĘSTOCHOWA (PAP). Nie tylko w przeszłości wyroby codziennego użytku były ręcznie pięknie ozdabiane. Do dziś robią to częstochowscy kowale. Wykuwane przez nich narzędzia rzemieślnicze i gospodarcze, a także okucia drzwi, wozów i sprzętów oraz zawiasy są bardzo piękne. Część z tych rzeczy oczywiście wychodzi z użycia – znajdują wtedy swoje miejsce w Muzeum Okręgowym w Częstochowie, które gorąco polecamy Waszej uwadze. A proc tego radzimy tym, którzy w czasie wakacyjnych wędrówek trafią choćby do Kozieglów, Przyrowa, Szczekocin czy Buchanowic: nie zapominajcie zajrzeć do znajdujących się w tych miejscowościach starych kuźni drewnianych i murowanych. Dawne tradycje w tym województwie są podtrzymywane aż w kilkudziesięciu zakładach kowalskich. (**jo**)

Im mniej cukru, tym lepiej

ZSRR (PAI). Radziecki uczony, akademik N. Judajew reprezentuje pogląd, że organizm ludzki może z powodzeniem obejść się bez cukru, nie zawiera on bowiem ani witamin, ani soli, ani też innych biologicznie aktywnych substancji. Jest on jedynie substancją chemiczną, której nadużywanie może doprowadzić do przecukrzenia krwi, co powoduje otyłość i sprzyja rozwojowi takich chorób jak miażdżyca, nadciśnienie, cukrzyca. Wszystkie niezbędne dla człowieka składniki zawarte są w innych produktach pochodzenia roślinnego i zwierzęcego. Dlatego też, aby uniknąć zaburzeń w funkcjonowaniu organizmu, nie powinniśmy w zasadzie spożywać więcej niż 50 g cukru dziennie. (**jo**)

POZOSTAJE TYLKO CZEKAĆ

W 49 numerze „ŚM" przeczytałem artykuł kol. Dariusza Kosowskiego, który nawiązuje do mojego ostatniego artykułu. Mianowicie chodzi tu o zagadnienie życia we wszechświecie. Kol. Kosowski wysunął kilka swoich wątpliwości, na które chciałbym odpowiedzieć.

Np. pisze on, że ponad 20 lat temu wysłaliśmy sygnały z Ziemi do innych gwiazd i jak do tej pory nie otrzymaliśmy i prędko nie otrzymamy na nie odpowiedzi. Z tym się całkowicie zgadzam, ale również od 20 lat wielkie anteny radioteleskopów ciągle szukają sygnałów pochodzących od wysoko rozwiniętych cywilizacji, jak dotąd bezskutecznie. Przecież sama Ziemia, a raczej ludzkość rozrzutnie szafująca energią radiowych fal elektromagnetycznych (stacje radiowe, telewizyjne, radary wojskowe, itp.) wysyła tak potężne sygnały w kosmos, że cywilizacja dysponująca teleskopem zbliżonym do największego ziemskiego, 305-metrowego dysku radiowego w Puerto Rico, mogłaby je odebrać nawet z odległości 30 lat świetlnych. W kuli o tym promieniu znajduje się około 200 gwiazd, więc chyba w tej odległości nie znajduje się żadna cywilizacja naukowo-techniczna. Również co do analiz komputerowych przeprowadzonych przez wielu wybitnych uczonych zgodzibym się z kol. Kosowskim, jednak trzeba by się zastanowić nad sensem takich obliczeń. Przecież każdy kto robi takie obliczenie wysuwa własne kryteria, którymi się później kieruje i często te kryteria są po prostu wygodne dla teorii, którą dany uczony popiera.

Kol. Kosowski stawia też pytanie, czy konstruktorzy wielkiego przedsięwzięcia jakim jest niewątpliwie projekt „Cyklop", też zwątpili? Na pewno nie zwątpili i prędko też nie zwątpią. Moim zdaniem jest to wspaniałe przedsięwzięcie, które powinno pozwolić nam spojrzeć w głąb kosmosu na odległość aż 1000 lat świetlnych a może i więcej. Ale jeśli nawet udałoby się nam nawiązać kontakt z jakąś cywilizacją techniczną, to właściwie co nam to da?

Jeśli ta cywilizacja będzie oddalona od nas o – drobnostka – 500 lat świata to nie ma mowy o podróżach do nich naszymi statkami kosmicznymi, chyba żeby oni pofatygowali się do nas. Wtedy zaś, cóż to by musiała być za cywilizacja, która umiałaby pokonać barierę prędkości światła lub aby posiadała prędkość przywietrną. Po drugie zadne znane ziemskie stopy metali nie wytrzymałyby bombardowania mikrometeorytów czy nawet ziaren materii międzygwiezdnej. Statek kosmiczny lecący z prędkością przyświetlną uderzony dosłownie pyłkiem materii o masie paru mg zostałby zniszczony siłą wybuchu 20 000 kg trotylu. Więc zostaje tylko łączność radiowa, choć i tu nie jest różowo. Jeśli otrzymaliśmy sygnał od hipotetycznej cywilizacji leżącej od nas o 500 lat świata, to jeśli wyślemy odpowiedź i oni też wyślą nam to na Ziemi minie już 1000 lat!

Tak więc musimy szczęśliwie czekać aż nasza cywilizacja rozwinie się jeszcze bardziej pod względem technicznym i naukowym, może wtedy będziemy w stanie pokonać wszystkie te trudności.

Andrzej Gurowietz

Kącik korespondentów

Astronomią, a szczególnie układem słonecznym, gwiazdami zmiennymi i galaktykami oraz UFO, możliwością kontaktu z cywilizacjami pozaziemskimi interesuje się **Jerzy Jarosz** (16 lat) – członek PTMA, ul. B. Kani 8/6, 58-305 Wałbrzych. Astronomią, astronautyką, fantastyką naukową, filmami s-f, UFO, Trójkątem Bermudzkim: **Marta Chwalba**, ul. Mireckiego Bl. 3 m 8, 41-300 Dąbrowa Górnicza. Astronautyką, a przede wszystkim gromadzeniem dokumentacji zdjęciowej lotów załogowych: **Maciej S. Stołowski** (16 lat), ul. Włocławska 10 m 24, 62-600 Koło. „Chciałbym korespondować z osobami, dla których obcowanie z fantastyką jest prawdziwym przeżyciem" – deklaruje **Grzegorz Siedlaczek** (15 lat), ul. Bobrza 2/11, 54-219 Wrocław. **Mariola Maryńska**, zamieszkała: Łężyce 81 B, 66-016 Czerwieńsk – prosi o udzielenie porady w budowie amatorskiej łunety, dysponuje soczewkami. Z tym samym problemem zwracają się do czytelników TOMIKA: **Robert Lipski** (15 lat) – zam. os. Słoneczne 1/15, 27-400 Ostrowiec Świętokrzyski, który poza tym interesuje się astronomią ogólną, UFO, życiem pozaziemskim i literaturą s-f. **Ryszard Śniezko** (15 lat), ul. Wandy 13A/10, 67-100 Nowa Sól. Przy czym Robert i Ryszard nie posiadają przygotowanych żadnych materiałów optycznych. Ze swej strony dodam, że zarząd Główny PTMA w Krakowie, ul. Solska 30 prowadzi sprzedaż broszury, z której można poznać sposób budowy amatorskiego teleskopu, a także prowadzi sprzedaż szkieł optycznych.

UWAGA: zgłaszając swoje nazwisko do Kącika korespondentów, nie zapomnij podać krótko sprecyzowanych zainteresowań, dokładnego adresu oraz koniecznie swego wieku lub klasy, do której uczęszczasz.

dzielił je na cztery porcje. Długo żuli każdy kęs, cmokając z uznaniem.

– Dawno tak się nie najadłem – stwierdził Dżamal przełknąwszy ostatnie okruszyny. – Oby Allach darzył cię wszelką pomyślnością.

W dziennym świetle Daniel spostrzegł z przerażeniem, że piękne oczy arabskiego chłopca były bardzo chore. Zaczerwienienie spojówek, obrzmienie powiek, ropa zbierająca się w kącikach – wszystko to świadczyło o zastarzałym stanie zapalnym, a białawe zgrubienia na niebieskawych białkach budzić musiały tym większy niepokój. Zapytał Dżamala, czy zasięgnął porady lekarskiej.

– Niestety. Trzeba by pójść do miasta, wyczekiwać w kolejce, bo do lekarza trudno się dostać, zapłacić za poradę... Ja nie mam ani dinara.

– Słuchaj! – palnął Daniel bez zastanowienia. – Jedź ze mną do Algieru. Mam tam znajomą lekarkę. Przepisze ci leczenie. Może zatrzyma w szpitalu, jeśli to okaże się konieczne.

– Do Algieru jest stąd więcej niż tysiąc kilometrów. Bilet autobusowy drogo kosztuje. Autostopem byłoby taniej, ale też nie za darmo... Trzeba by gdzieś zatrzymać się na noc, coś jeść po drodze... A w Algierze także znaleźć jakieś schronienie, bo o przyjęciu do szpitala nie ma co marzyć, setki ciężko chorych nie znajdują miejsca... A jak potem wrócić do swoich, gdzie ich odnaleźć, przecież nie będą czekać na mnie, muszą iść dalej z trzodami, więc gdybym raz odłączył się od nich, kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek bym ich spotkał? I cóż bym począł sam jeden na świecie?

– Choroba sama nie minie. Możesz stracić wzrok.

– Ślepemu każdy da jałmużnę. Oby Allach oszczędził mi tego...

– Pomówmy z tym starcem, który wczoraj cię wezwał.

– Z Abdelazizem? To człowiek mądry i czcigodny, ale nie zna miejskiego życia, nie potrafi mi nic doradzić. W każdym razie nie dzisiaj, bo dzień mamy uroczysty. Wesele. Pieczenie barana. Kus-kus dla wszystkich.

Na myśl o tym rozpromienił się, jakby uczta weselna była ważniejsza od jego zdrowia i całej przyszłości.

– I ty dostaniesz mieszczę – zapewnił Daniela. - Skoro Allach zesłał cię akurat na ten dzień, przyniesiesz szczęście nowej rodzinie. Gość z daleka wróży nieoczekiwaną pomyślność.

– Chciałbym dać jakiś upominek młodej parze. Czy sądzisz że taka chustka byłaby dobra? – wyjął z torby czepeliowską białą chustę wełnianą w czerwone róże, którą matka dała mu „na wszelki wypadek" z innymi drobiazgami. „Gdzie jak gdzie, ale w Algierii będziesz miał wiele okazji do dawania prezentów" – twierdziła. Myślał, że ofiaruje ją Blance, ale nie zdążył... Teraz chustka mogła spełnić swoje przeznaczenie.

– Cudowna! – cmoknął Dżamal. – Tylko...

– Tylko co?

– Na pewno wiesz, nie potrzebuję ci tego mówić, pozwalam sobie jedynie przypomnieć, że należałoby wręczyć upominek nie dziewczy nie, lecz jej mężowi, aby go jej oddał.

– Naturalnie...

– Dżundia urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Nie ma jeszcze czternastu lat, a już ją wydają za mąż. I to za kogo! Za Ahmeda Bisuri, przewodnika karawany, właściciela dwustu wielbłądów.

– Gdzie go poznała?

– Jak to: poznała? Dzisiaj go zobaczy po raz pierwszy. Rodzice jej wszystko ułożyli z matką Ahmeda, który przyjdzie w południe i przywiezie prezenty. Noc najbliższą będzie Nocą Henny, łajlat al-hanna. Wykąpią pannę młodą, natrą jej dłonie i stopy henną, będą tańczyć przy ognisku.

– Kto będzie tańczył?

– Dżundia z przyjaciółkami. My, mężczyźni, upieczemy w tym czasie barana. Dużego, tłustego barana.

W całym obozowisku panowało wielkie ożywienie. Myto dzieci, ubierano je odświętnie, przykazując surowo, żeby się nie zabrudziły, robiono jaki taki porządek dookoła namiotów, kobiety wynosiły na dwór najbarwniejsze chustki, najładniejsze stroje. Mężczyźni siedzieli oparci o żerdki przytrzymujące w dole płachtę namiotu i czekali na przybycie narzeczonego.

Dżamal z Danielem podeszli bliżej szosy, żeby lepiej się przyjrzeć Ahmedowi. Przybył konno w towarzystwie kilkunastu jeźdźców. Smagła twarz miał owiniętą białym zawojem, spadającym na równie białą szatę. Jego towarzysze nosili brunatne burnusy. Wszyscy uzbrojeni byli stare, posrebrzane strzelby i sztylety w nabijanych srebrem pochwach, niby to skrytych w fałdach szat, lecz stanowiących dumę i chlubę rycerzy pustyni.

Cdn.

NIE SZUKAM ZEMSTY! (8)

STRESZCZENIE: Buddy Longway – zwiadowca i traper, w poszukiwaniu żony i córeczki udaje się do swej dawnej kolíby, która jest zajęta przez innych osadników. Buddy spotyka Jima, syna osadniczego małżeństwa, a zaraz potem następuje niespodziewany atak Indian; na mieszkańców koliby i garstkę żołnierzy...

ŚWIAT MŁODYCH

Ukazuje się we WTORKI CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61, sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15).
TELEX 81-36-58.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszowska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Opracowanie graficzne: **Inna Bójska**
Opracowanie techniczne: **Bogumiła Szczupakowska**
Korekta: **Barbara Zając**
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr. zam. 3201/G M-70

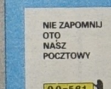

UŚMIECH NUMERU

SPOTYKA SIĘ dwóch. Jeden ciągnie za sobą sznurek.
– Dlaczego ciągniesz ten sznurek? – pyta pierwszy.
– Próbowałem pchać przed sobą, ale mi się zwija – odpowiada drugi.

★

NA BAZARZE. Klientka pyta straganiarkę:
– Czym były karmione te kury?
– Dlaczego pani pyta?
Bo chciałabym tak schudnąć...

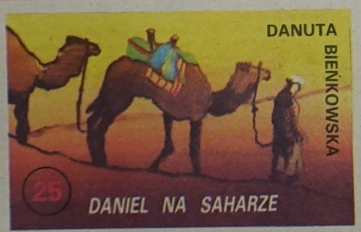

— Rad jestem, że mogę cię u nas powitać. Czcigodny pan tego namiotu byłby szczęśliwy mogąc ci ofiarować posłanie pod swoim dachem, ale, jak widzisz, namiot jest ciasny, a rodzina liczna. Prosi cię więc, abyś zechciał przenocować wraz ze mną i dwoma innymi chłopcami. O dalszej twojej podróży pomyślimy jutro. Różne drogi do Algieru prowadzą, krótsze i dłuższe. Można lecieć samolotem, można pojechać autobusem. Można zabrać się na ciężarówkę. Trzeba to wszystko rozważyć, w zależności od twoich chęci i możliwości.

Daniel starał się odpowiedzieć w tym samym stylu.

– Podziękuj czcigodnemu panu tego namiotu za jego uprzejmość i poczęstunek. Chętnie spędzę tę noc z rówieśnikami. Złóż mu w moim imieniu życzenia, żeby spał dobrze, żeby Allach zesłał mu piękne sny.

Rozdział 13

Nocleg okazał się niespodziewanie wygodny. Pod brezentowym namiotem, który zapewne służył jeszcze francuskim żołnierzom i kto wie, jakim cudem znalazł się w posiadaniu Nomadów, leżały dwa materace piankowe i trzeci z trawy alfa, nabyte chyba niedawno w jednej z pobliskich oaz. Zsunięto te materace razem, tak że utworzyły legowisko dla czterech chłopaków. Dwaj okryli się swoimi derkami, Dżamal, jako gospodarz, odstąpił swoją Danielowi i owinął się burnusem.

Po północy chłopcy zerwali się na pierwszą modlitwę, rychło jednak wrócili i spali dalej. O brzasku znowu wstali, obmyli odrobiną wody twarze, dłonie i stopy, wyszli na modlitwę przed namiot. Daniel, teraz już rozbudzony na dobre, obserwował ich uważnie. Powtarzali pokłony, z których każdy składał się z siedmiu ruchów i siedmiu recytacji. Zaczynali stojąc, przyłożywszy dłonie do obu stron twarzy, jakby wzywali Stwórcę w skupieniu. Później składali mu głęboki ukłon. Prostowali się znowu, żeby paść po chwili na kolana i twarzą dotknąć ziemi. Podnosili się nieco, przysiadali, znowu padali na twarz. Na zakończenie recytowali tekst najdłuższy. I znów zaczynali od początku.

Daniel wiedział, że pięciokrotne odmawianie modlitw obowiązuje każdego dorosłego i zdrowego muzułmanina, nie sądził jednak, by wszyscy tego obowiązku przestrzegali, by zrywali się w nocy i o świcie, przerywali pracę w południe i w drugiej połowie dnia, kończyli modłami dzień o zachodzie. Podczas pobytu w Biskrze słyszał wprawdzie głos muezzina, śpiewanie wzywającego wiernych do modlitwy, ale uważał to za pozostałość dawnych zwyczajów, za coś na kształt hejnału mariackiego; nie zauważył też, by na znak muezzina zamierał ruch w miasteczkach i wszyscy zwracali się twarzą w stronę Mekki.

Dopiero tutaj Daniel uświadomił sobie, jak bardzo islam związany był z naturalnym środowiskiem jego wyznawców. Gdyby ci chłopcy zerwali się o świcie na modlitwę w nowoczesnym bloku, bili czołem o powleczony lakierem parkiet i podnosząc oczy widzieli przed sobą orzechową szafę, cały ten rytuał nie miałby sensu. Ale tutaj skłaniali czoło przed potęgą pustyni, przyrody, bóstwa, którego prawa są niepojęte, korzyli się przed niewypowiedzianym pięknem wstającego dnia.

Kiedy trochę zziębnięci wrócili do namiotu, Daniel poczęstował ich połową prowiantów otrzymanych od Bena. Dżamal sprawiedliwie po-

Dokończenie na str. 7